Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1887. Rok X.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Kilka uwag w sprawie reformy Ustawy łowieckiej

skreślił

WŁADYSŁAW hr. BAWOROWSKI.

Zaledwie kilka tygodni dzielą nas od chwili stanowczej, w której się losy nasze jako właścicieli i miłośników łowiectwa krajowego rozstrzygać mają. Wydział krajowy przedłożyć ma bowiem Sejmowi na najbliższej sesyi projekt do nowej ustawy łowieckiej, która na dłuższy przeciąg lat normować będzie stosunki prawne tej gałęzi gospodarstwa krajowego.

Wobec tego nie należałoby interesowanym zachować się obojętnie i milcząco, raczej obowiązkiem jest każdego, wypowiedzieć swoje zdanie w tej sprawie, być bowiem może, że pomiędzy temi luźnie rzuconemi myślami, znajdą się zapatrywania, które w kołach naszego ciała prawodawczego uznanie zyskają, a przez to samo do pomyślnego załatwienia sprawy przyczynić się będą mogły.

Co do mnie, czyniąc zadość obowiązkowi, do którego się poczuwam, pozwalam sobie niniejszem przesłać Szanownej Redakcyi moje odnośne zapatrywania do dowolnego użytkowania.

Przedewszystkiem jestem zdania, że wszelkie zmiany ustawy łowieckiej przedsiębrane szablonowo na podstawie ustaw istniejących w naszym kraju lub innych krajach Monarchii, do celu nie prowadzą, inną rzeczą jest, jeśli się uwzględni zupełnie odmienne warunki naszego łowiectwa, naszych zwierzostanów, naszych stosunków, i t. p. i na tej podstawie zechce stworzyć ustawę *ad hoc*, której by zadaniem było, wydźwignięcie tej gałęzi gospodarstwa krajowego z upadku i zaniedbania, w jakiem się takowa dotąd znajduje. W takim razie musiałaby ustawa obecna znacznym uledz przeobrażeniom i w ogólnych zasadach różnić się od innych obowiązujących w krajach, w których bogate zwierzostany rzeczywiście już istnieją, czem my niestety w wschodniej części Galicyi przynajmniej wcale poszczycić się nie możemy.

Wychodząc z tego zapatrywania i chcąc tworzyć ustawę łowiecką dla naszego kraju, należy się przedewszystkiem zastanowić nad tem, z jakich mianowicie powodów zwierzostany u nas wcale się nie podnoszą, a doprowadzone nareszcie tu lub owdzie ogromnymi stosunkowo kosztami i wysiłkiem do skromnych bardzo rozmiarów, upadają powtórnie, (mowa tu tylko o Galicyi wschodniej, gdyż stosunki odnośne zachodniej części kraju nie są mi dostatecznie znane). Z pod tego ogólnego prawidła wyłączyć muszę jednak sarny, których stan, dzięki obecnie obowiązującej ustawie, choć bardzo wolno, jednak stopniowo mniejwięcej nieustannie się podnosi.

Powody upadku naszych zwierzostanów, pomijając przeszkody klimatyczne i inne, które usunąć nie leży w mocy prawodawcy, są następujące:

1. Ustawa dla ochrony zwierzostanów istnieje dotąd niestety tylko na papierze, lekceważy ją prawie cały ogół mieszkańców naszego kraju, nawet wielu z tych, którzy na straży ustaw stać powinni, nie mogą się pogodzić z tą myślą, że ustawa ta nie istnieje li dla ochrony kosztownej rozrywki kilku uprzywilejowanych i że nie jest ona bynajmniej li pozostałością z czasów feudalnych, ale że takowa ma swoje bardzo uzasadnione i niezaprzeczone prawo istnienia w obecnym ustroju społecznym. Słowem brać ustawę łowiecką na seryo i poważnie się na nią zapatrywać, nikomu prawie przez myśl nie przejdzie, wyjąwszy naturalnie tych, którzy jako zamiłowani hodowcy zwierzyny i prawdziwi myśliwi, osobistym w tym względzie kierowani są interesem.

2. Ogromna ilość zwierzyny szkodliwej, która się u nas znajduje, przeciw której walka jednostek pozostać musi bezskuteczną, złemu bowiem pod tym względem zaradzić by można tylko siłami zbiorowemi.

3. Ogromna ilość psów i kotów wszelkiego rodzaju i kalibru, wałęsających się dniem i nocą po polach i lasach, żywiących się wyłącznie przemysłem własnym, właścicielom tychże bowiem nie przejdzie nawet przez myśl wydać choćby jednego centa na ich wyżywienie. Większego zaś wroga nad tych zwierzyna w całej przyrodzie nie ma.

4. Ogromna ilość szkodników dwunożnych, zamieszkujących każdą gminę, nie wiem bowiem, czy się gdzie choć raz wydarzyło, aby włościanin nasz, znalazłszy jaja kuropatwie lub inne, tychże nie zabrał lub nie potłukł, młodym zającom, które pochwycił karków nie poukręcał, gniazda nadybane nie poniszczył i t. d. Dla tych szkodników, ustawa łowiecka absolutnie nie istnieje.

5. Znaczna liczba kłusowników wszelkiego wieku, stanu i zajęcia, którym co prawda, rzemiosło to u nas egzystencyi bez trosk zapewnić nie zdoła, kłusownikom amatorom zaś, wielkich rozkoszy nie przysparza.

6. Zupełny brak jakiejkolwiekbądź opieki nad zwierzyną ze strony właścicieli i uprawnionych, (nie mówię rozumie się o wyjątkach), morzenie tejże głodem, wybijanie wszystkiego co pod lufę wpadnie, bez względu na to, czy co na rozpłodek pozostało lub nie, etc. etc.

7. Dotychczasowy nader zgubny stystem wydzierżawiania polowań gminnych komukolwiekbądź, za jaką bądź kwotę, bez wszelkich ograniczeń, lub zastrzeżeń. Wprawdzie nawet ustawa, obecnie obowiązująca, sprzeciwia się takiemu bezwzględnemu wydzierżawianiu, ale jak już powiedziano, *de facto* istnieje ustawa tylko na papierze a nadto jest ona pod tym względem zupełnie niedostateczną.

8. Ogromna większość takich właścicieli i dzierżawców polowań, którzy ani myśliwymi ani miłośnikami łowiectwa nie są, dla których zatem całe łowiectwo z wszelkiemi odnośnemi ustawami wcale nie istnieje. Nie mam wprawdzie żadnych danych statystycznych pod ręką, abym ilość tych uprawnionych a dla sprawy nader obojętnie usposobionych obliczyć mógł, sądzę atoli, że co najmniej $^3/_4$ całego łowiectwa krajowego w takich znajduje się rękach, jeśli zaś tak jest, to można sobie łatwo wyobrazić, czy lub o ile ustawy obecnie obowiązujące, choćby nawet uzupełnione i ulepszone zostały, istniejącemu złemu zaradzić będą mogły.

W obec tych kardynalnych w tych ustępach wyliczonych przeszkód, przyznać musi każdy bezstronny, że jak długo takowe istnieją, wszelkie podniesienie się zwierzostanów w naszym kraju jest po prostu niemożliwe i że taka tylko ustawa złemu zaradzić będzie mogła, która przeszkodom tym skuteczną walkę wypowiedzieć zdoła. Co do mnie, nieprzesądzając, o ile by to się w ramy ustawodawstwa ująć dało, jestem zdania, iż wyżej przytoczone przeszkody zwalczać można w sposób następujący:

ad 1. Nie wiele da się wprawdzie uczynić, wszelako możebnem i koniecznem jest oznaczyć stale z góry rozmaite kary na wszelkie przestępstwa i w ten sposób uchylić bezkarność, która się niestety jeszcze bardzo często przy przestępstwach wobec ustawy łowieckiej powtarza, resztę zaś należy pozostawić czasowi w nadziei, że i ta ustawa znajdzie ostatecznie uznanie i poszanowanie u ogółu.

ad 2. Byłbym zdania, iż należałoby wyznaczyć premije za niszczenie szkodliwej zwierzyny, do której bezwarunkowo wałęsające się psy i koty zaliczam, zwierzynę tę należałoby podzielić na dwie kategorje, t. j. na sztuki więcej rozpowszechnione, do zabicia łatwiejsze i mniej szkodliwe, i na sztuki rzadziej się pojawiające, trudniejsze do zabicia i bardziej szkodliwe, i stosownie do tego podziału unormować premje; nadto należałoby za pojedyncze sztuki stosunkowo niższą, za dziesiątki sztuk wyższą, a za setki sztuk jeszcze wyższą ustanowić premję. Premje te opłacałyby Wydziały powiatowe, funduszów na to potrzebnych dostarczyć mogą karty myśliwskie, gdyby takowe już koniecznie zaprowadzone być miały, lub też dostarczyliby takowych właściciele polowań w stosunku do posiadanych obszarów, rozumie się iż gminy przelewaćby mogły ten obowiązek na swoich dzierżawców. Wedle mego przekonania, jedynie tym sposobem osiągnęłoby się tak konieczne u nas o g ó l n e tępienie szkodników.

ad 3. Wszelkie wałęsające się psy i koty strzelane być powinne bezwarunkowo, jako szkodniki najgorszego gatunku, takie zarządzenie atoli nie byłoby wystarczającem, trudno bowiem nieraz chcąc żyć w zgodzie z gminą, zabijać każdego w polu lub lesie przydybanego psa, należy zatem ustanowić, iżby dla psów wiejskich istniały mniejwięcej te same przepisy, które po miastach obowiązują, na czemby równocześnie statystyka pokąsanych przez zwierzęta wściekłe, a choćby nawet i nie wściekłe, znacznie zyskała, *respective* straciła. W każdym razie ogół na takiem zarządzeniu tylko zyskać może.

ad 4. Nie wiele da się uczynić, aby zakorzenionemu złemu zapobiedz, w każdym razie powinna ustawa zawierać bardzo ostre kary na przestępstwa tego rodzaju, o ile takowe wykryte zostaną.

ad 5. Temu może również przeciwdziałać ustawa tylko karami na wszystkie odnośne przestępstwa z góry oznaczonemi, nadto należałoby zaprowadzić ścisłą kontrolę nad zwierzyną sprzedawaną, a to w ten sposób, że do każdej takiej sztuki wymaganą być powinna licencya, wystawiona przez właściciela czy dzierżawcę polowania, sztuka bez licencyi nie mogłaby być ani sprzedaną, ani kupioną ani też do miasta wprowadzoną. Rozumie się samo przez się, że fałszowanie licencyi, lub obejście odnośnych przepisów w ogóle, obłożyćby należało ostremi karami, dozór zaś i kontrolę w tym względzie wykonywać powinne wszelkie organa wykonawcze, tak po miastach jak i gminach wiejskich.

ad 6. Zaradzić by można złemu tylko przy polowaniach gminnych, a to przez stosowne ułożenie kontraktu dzierżawnego, zaś przy polowaniach, własność prywatną

stanowiących, pozostanie ustawodawstwo zawsze bezsilnem w tym kierunku.

ad 7. Należałoby ułożyć cały szereg przepisów, pod jakimi prawo polowania wydzierżawione być może:

a) Przedewszystkiem musiałby dzierżawca złożyć kaucyę odpowiednią, nie jak dotąd rocznemu czynszowi, ale szkodzie, jaką on właścicielce t. j. gminie na tym jej majątku wyrządzić może.

b) Minimum czynszu rocznego, niżej którego polowanie wcale wydzierżawionem nie będzie, powinnoby być z góry oznaczone.

c) Dzierżawca musiałby przyjąć warunki, pod jakimi wykonywanie i użytkowanie prawa polowania dozwolone mu będzie, w jakich rozmiarach zwierzyna wybijaną być może, co dla wyżywienia, rozmnażania i ochrony tej zwierzyny on uczynić winien, w jakim wypadku klęski przewidzianej, on ewentualnie rok a może i przez dwa lata żadnych korzyści z dzierżawy ciągnąć nie będzie uprawnionym, etc. etc.

d) Dzierżawca musiałby mieć bezwarunkowo obowiązek utrzymywania człowieka fachowego i stosowną do obszaru ilość pomocników, dla dozorowania zadzierżawionego polowania. Wprawdzie zawiera obecnie obowiązująca ustawa takie same zastrzeżenie, że dzierżawca fachowego kierownika i dozorcę polowania utrzymywać winien, o ile mnie jednak wiadomo, przepis ten nigdzie przestrzeganym niebywa, ustawa dozwala bowiem Starostwom uznać samego dzierżawcę za taką siłę fachową, z czego też starostwa w najszerszej mierze korzystają, uznając bezwarunkowo każdego dzierżawcę za taką siłę fachową, nie bacząc nawet wcale na to, że dzierżawca ten w gminie zadzierżawionej zamieszkać nie zamierza, że przeto ta jego, zresztą bardzo wątpliwa fachowość, wydzierżawić się mającemu polowaniu żadnej korzyści przynieść nie może.

Wobec powyższego zrobiony mi będzie niewątpliwie zarzut, że żadne polowanie gminne w kraju, pod takimi warunkami nabywcy nie znajdzie. ja jestem tego samego zdania i to dowodzi właśnie słuszności moich zapatrywań na sprawę; jako odpowiedź zaś pozwolę sobie postawić zapytanie, kto na tem właściwie straci? czy gmina składająca się n. p. z 300 numerów i posiadająca mniejwięcej 1500 morgów obszaru, dla tego, że nieotrzyma tych 2 lub 3 złr. rocznego czynszu za swoje polowanie, jak to się teraz praktykuje, a co na jeden numer wynosi 1 cent, za 1 morg gruntu zaś $^1/_5$ centa w. a.?! czy może łowiectwo krajowe dla tego, że te ostatnie okazy zajęcy, kuropatw, i t. p. błądzące jeszcze tu i owdzie po lasach i polach gminnych, do nogi wybite nie zostaną? czy też może właściciele sąsiadujących obszarów dworskich dla tego, że kłusownik więcej miałby na przyszłość trudności w podkradaniu się do ich zwierzyny? (Obecnie jest mu rzecz bardzo ułatwioną, bo chodzić on może graniczącemi polami gminnemi całkiem swobodnie w przeświadczeniu, że go nikt o to nie zapyta i zapytać prawa nie ma, czy on jest, lub nie jest do tego uprawnionym, dzierżawca daleko o mil kilka lub kilkanaście, a polowanie dozorcy nie posiada żadnego).

Co do mnie nie mogę dopatrzeć straty z tytułu tego dla nikogo, a zysk z takiego zarządzenia po latach kilku byłby niewątpliwym, tak dobrze dla łowiectwa krajowego w ogóle, jak i dla poszczególnych gmin, zresztą wedle mego widzenia jest anomalią wydzierżawianie czegoś, co żadnej nie przedstawia wartości, lub też tem bardziej wydzierżawienie przedmiotu wyniszczonego jedynie i wyłącznie w tym celu, aby dokonanem i uzupełnionem być mogło dzieło dalszego, tym razem już zupełnego zniszczenia na tym przedmiocie!! Rozumie się samo przez się, że w gminach niewydzierżawionych, należałoby dozwolić wybijanie zwierzyny szkodliwej zaprzysiężonej straży leśnej sąsiednich obszarów, na co by pozwolenia Wydziały powiatowe udzielać mogły, polowanie zaś pozostawałoby pod opieką i nadzorem gminy samej i mężów zaufania, przez Wydziały powiatowe z sąsiedztwa mianowanych.

Dodatkowo do powyższych przepisów należałoby ustanowić także, że polowania gminne podupadłe, z zwierzostanem wyniszczonym, stosownie do potrzeby i stopnia wyniszczenia zamknięte być powinne z urzędu na pewien przeciąg lat, zatem wcale wydzierżawione być nie mogą, choćby się odbiorca na takowe znalazł, bo jeśli n. p. właścicielowi lasu nie przysługa prawo niszczenia takowego, to tem mniej przysługać może właścicielowi polowania prawo zupełnego tępienia i wyniszczenia zwierzyny, którą bardziej jak drzewo za własność ogółu uważaćby należało.

Orzeczenie w takich sprawach należałoby do komisyi z zaprzysiężonych rzeczoznawców złożonej, przez Wydział powiatowy czy też starostwo zwołanej, w wypadkach i na podstawach, jak to w razie niszczenia lasów przez właścicieli się dzieje. Zbadanie rzeczywistego stanu rzeczy byłoby dla komisyi nader łatwem, każda ponowa lub kilka próbnych miotów dadzą zupełnie jasny obraz istniejącego stanu zwierzyny.

ad 8. Tej właśnie największej klęsce naszego łowiectwa najtrudniej jest stanowczo zaradzić, chodzi tu bowiem o błędne koło, z którego nie ma wyjścia, a które w tych kilku słowach określić można: „jak długo zwierzyna właścicielowi tejże nie przysporzy pożytku i dochodów, tak długo niemyśliwy lekcyważyć ją będzie, jak długo zaś zwierzyna przez właściciela lekceważoną będzie, tak długo on z niej ani pożytku ani dochodu mieć nie może i mieć nie będzie. Zaradzić więc temu złemu skutecznie mogłoby jedynie i wyłącznie ustawodawstwo, póki to zaś nie nastąpi, póty o rzeczywistem podniesieniu zwierzostanów naszych mowy nawet być nie może. Dla zwalczenia złego w tym kierunku istnieją według mego zapatrywania tylko dwa sposoby, to jest:

a) Minimalny obszar gruntu, na którym polowanie samoistne wykonywać wolno, powinien zawierać conajmniej 300 morgów, dotychczasowych bowiem 200 mor. są w stosunkach naszych stanowczo za mało, polowanie na takim obszarze będzie zawsze pasożytem, istniejącym jedynie zwierzyną obszarów sąsiednich.

b) Polowania podupadłe, z zwierzostanem mniej lub więcej wyniszczonym, winne być bezwarunkowo z urzędu zamknięte, jak to *ad 7.* przy polowaniach gminnych proponowano.

Gdyby zasady tu wypowiedziane zyskać mogły uznanie i zastosowanie, to ustawa łowiecka, obecnie obowiązująca, wymagałaby tylko nie wiele zmian lub ulepszeń, te ostatnie osobliwie w kierunku wykonania n. p. jeśli zwierzyna jaka wchodzi w czas ochrony wedle ustawy, to niech zwierzyna ta w tymże samym czasie nie bywa publicznie na targach sprzedawaną, lub w restauracyach przez smakoszów zjadaną i t. p.

Co do kwestyi szczegółowych czysto myśliwskich, miałbym do zauważania, że czas ochrony dla zajęcy powinien być przedłużonym co najmniej do 1. Października, czas ochrony dla kuropatw powinien się rozpoczynać 1go a przynajmniej 15go Listopada, gdzież bowiem jest porządny myśliwy, który z końcem Listopada na kuropatwy poluje? a pocoż mają być te nieszczęśliwe niedobitki i ostatnie okazy swego rodu jeszcze w zimie prześladowane, tem bardziej, gdy największą szkodę temu polowaniu wyrządza właśnie łowienie kuropatw na śniegu.

Co do kozłów, jestem stanowczo przeciwny wszelkiej ochronie, stare kozły przynoszą zwierzostanom tylko szkodę i powinne być zawsze i wszędzie strzelane, szpiczaki zaś bezwarunkowo nigdy strzelane być nie powinne.

Ostrów dnia 14. Października 1887 r.

O ankiecie łowieckiej i jej obradach.

Na czterech*) posiedzeniach ukończyła zaproszona przez Wydział krajowy ankieta łowiecka swe obrady. Celem ankiety była rewizya obowiązujących dotąd ustaw, dotyczących łowiectwa, zbadanie wniosku p. Dawida Abrahamowicza o kartach myśliwskich i opłatach od psów i dostarczenie materyału do projektu nowej ustawy łowieckiej, któraby uzupełniła wszystkie braki w dotychczasowych ustawach. Wydział krajowy zaprosił do ankiety fachowych ludzi. Z zaproszonych przybyli pp. Władysław ks. Sapieha, Antoni hr. Wodzicki, Stanisław Homolacs, Dr. Kratter, dyrektor Simon, Dawid Abrahamowicz, Feliks Gniewosz i prof. Romańczuk. Przewodniczył obradom członek Wydziału kraj: p. Bereżnicki. Pomijając już tę okoliczność, że pp. Dawid Abrahamowicz, prof. Romańczuk i p. Bereżnicki bardzo mało znają się na łowiectwie, bo wcale nie polują, zaznaczyć musimy, że pozostali członkowie ankiety zapatrywali się na polowanie ze stanowiska tylko właścicieli większych posiadłości a więc jednostronnie, a jeżeli jednostronność szkodzi każdej poważnej sprawie, to tem bardziej jest zgubną przy badaniu stosunków krajowego łowiectwa, gdzie należy liczyć się ze wszystkimi żywiołami w kraju istniejącymi.

Nadto elaborat, który miał stanowić podstawę obrad ankiety, przygotowanym został przez Pana Alberta Wilczyńskiego sekretarza ankiety, który wprawdzie przejrzał wszystkie ustawodawstwa łowieckie w Europie, ale o sprawach łowiectwa w praktyce u nas, nie wiele ma pojęcia, czego wymowny dowód złożył w Kwestyonarzu przedłożonym ankiecie w formie 48. pytań.

Toż wobec takiej fachowości, takiego substratu i tak jednostronnego stanowiska ankiety, zasadnicze uchwały jej rzeczywiście są tego rodzaju, że należy wątpić, czy Wydział krajowy uwzględni je przy wypracowaniu projektu do ustawy łowieckiej. Przebija z nich tak wielka naiwność, takie krótkowidzenie a powiedzmy otwarcie dziwne samolubstwo, że to musi smutnie dotknąć każdego nieuprzedzonego człowieka, który wymaga wprawdzie pracy od swych współbliźnich, ale nie wzdryga się na myśl, że i oni godziwie zabawić się powinni. Co do kwestyi głównych, zasadniczych, pozostawiła je ankieta niezmienione. — Wszczególności uchwaliła, by uprawnieni do polowania wykazywali się kwalifikacyą myśliwską. Jest to co najmniej śmieszne, a ta śmieszność zwiększa się bez granic, jeżeli weźmiemy na uwagę, że o takiej kwalifikacyi orzekać ma Komitet powiatowy, złożony z reprezentantów władzy politycznej, autonomicznej i Wydziału krajowego. Ankieta nie przewidziała, w jaki sposób będą mogli osądzić urzędnicy n. p. Starostwa, lub Wydziału powiatowego czyjeś uzdolnienie myśliwskie, jeżeli sami takiego uzdolnienia nie posiadają, mało tu bowiem pomoże instrukcya Wydziału krajowego w porozumieniu z Namieśnictwem. Ankieta może pragnie, aby prawnicy, mający wstąpić do służby politycznej w I. instacyi, lub autonomicznej I. i II. instancyi, byli myśliwymi, czyli, aby musieli uczyć się łowiectwa osobno. Wszakże Walne Zgromadzenie gal. Tow. łow. wyraźnie orzekło, że o kwalifikacyi myśliwskiej wyrokować mają egzaminatorowie, czerpiący wiedzę swoją z wykładów umiętności łowieckiej w szkole lasowej lwowskiej. O tem ankieta nie chciała wiedzieć. W dalszym ciągu postanowiła ankieta, że właściwie za szkody, zrządzone przez wszelkiego rodzaju zwierzynę, nikt nie będzie odpowiedzialnym, każdy włościanin winien bowiem sam się bronić przeciw szkodnikom. Właściciele polowania odpowiadać tylko będą za szkody wyrządzone przez jelenie i daniele. To już zaiste żart ze strony ankiety, bo powszechnie, nawet niefachowym, wiadomo, że jeleni nader mało a danielów nie ma wcale w Galicyi, gdzie zaś sarny i zające wyrządzać będą szkody w zasiewach wieśniaków, tam nikt nie będzie obowiązanym do wynagrodzenia szkód. Bardzo to wygodne dla wielu właścicielów wielkich obszarów, ale czy słuszne?!

Ankieta łowiecka zakazuje polowania w niedzielę i we święta rano. Zakaz ten skierowanym jest wprost do myśliwych w miastach, należących do myśliwskich Towarzystw, a zajętych przez cały tydzień pracą zawodową. Dziwna to zaiste nietolerancya ze strony członków ankiety, skazującej całe mnóstwo ludzi pracy na wyrzyczenie się jedynej częstokroć ich rozrywki. Bo rozrywką jest polowanie, nie zawodem lub pracą, a nazwy śmieszne „myśliwych amatorów“ są bezsensem wobec tego, że świat w Europie nie zna „myśliwych z zawodu“. Wszak polowanie u nas nie jest jeszcze ani zarobkiem ani zatrudnieniem, ale jest rodzajem sportu, tak je przynajmniej pojmują „amatorowie myśliwi“; jeżeli zatem w niedzielę przepisy kościelne nie zabraniają wyścigów konnych, teatralnych przedstawień i innego rodzaju rozrywek, to nie zabraniają też i polowania. Zresztą wieśniacy, biorący udział w nagankach, nie są odciągani od nabożeństwa, w zimie bowiem zaczyna się polowanie zwykle już po nabożeństwie a przecież godziwiej spędza chłop niedzielę na polowaniu, zarabiając przytem,

*) Sprawozdanie z dwóch posiedzeń listopadowych ankiety umieszczone było we wrześniowym numerze Łowca.

niż siedząc i grosz skąpy wydając w karczmie. Uprzywilejowanie pod względem łowieckim niedzieli, a odstępstwo od tego przywileju w Święta, jest zaiste arcydziwnem i wcale nielogicznem. Zamach ankiety na towarzystwa myśliwskie po miastach, nie zgadza się i nieodpowiada tendencyi wszelkich ustaw łowieckich. Ustawy te mają na celu i to zdaje się musiała też mieć na celu ankieta, choć z obrad tego nie widać, aby łowiectwo uczynić jednem ze źródeł dochodu w kraju, jak to jest z Czechach i gdzieindziej. Upadek towarzystw myśliwskich, które znacznym kosztem dzierzawią obszary w pobliżu wielkich miast, utrzymują zwierzynę, pilnują jej przez osobnych płatnych dozorców i walczą z kłusownikami, byłby zaiste klęską dla krajowego łowiectwa i na wiele lat wstecz cofnęłaby się chwila, w której w Galicyi, pokrytej dotąd jeszcze wielkimi borami, polowaliby tylko posiadacze wielkich posiadłości, i — kłusownicy.

Członkowie ankiety są tego przekonania, że uchwaleniem egzaminów na myśliwych i zakazów polowania w niedzielę, wytrącą z rąk myśliwych nie — Panów broń łowiecką. Niech będą spokojni, co do pierwszego, to gdyby przyszło do składania egzaminów fachowych, kto wie, czy nieuzdolnionych do polowania więcej niedostarczyłyby większe posiadłości, bo przecie powszechnie znaną jest rzeczą, że nieszczęścia, zabójstwa lub postrzelenia przypadkowe współpolujących lub naganiaczów, przez nieostrożne obchodzenie się z bronią, zdarzają się najczęściej na wielkich polowaniach w gronie samych myśliwych „zawodowych". Wykazują to liczne wypadki opisane w dziennikach, a jeszcze liczniejsze przemilczane.

Tyle co do stron ujemnych. Z dodatnich podnieść chyba wypada uchwałę premiowania z funduszu krajowego za ubite drapieżce. Zbawienną również będzie uchwała wprowadzona w życie o wybijaniu psów i kotów włóczących się luźnie. Śmiesznym tylko jest nieco wymiar 70 metrów. Kto będzie tak szczegółowo te 70 metrów mierzyć? Co do kart myśliwskich, których cenę zniżyła ankieta na 3 zł. rocznie, to zgadzamy się na nie, ale tylko w imię potrzeby osobnego funduszu na cele kultury łowieckiej, twierdzimy jednak, że te karty ani kłusownictwa nie powściągną, ani do pomnożenia zwierzostanu bezpośrednio się nie przyczynią.

Lwów w październiku.

Leon Dziubiński.

O psach myśliwskich

napisał

J. Szlezygier.

(Dokończenie.)

Setter ma głowę niewielką, przednia jej część pomiędzy oczami mocno wklęsła, trąba nosowa miernie długa, w środku swej długości zagłębiona, nos z wierzchu nieco płaskawy, nozdrza szerokie, szczęki równe, kąty ust grubo wystające i zwieszone, uszy nisko osadzone, u góry szersze niż u dołu, dobrze do głowy przystające i na brzegach kosmate, w każdym stanie czynności i ruchu psa uszy są nieruchome, oczy przyjmują barwę włosa. Szyja długa, przy głowie cieńsza, ku tyłowi grubsza, pierś nie szeroka i więcej zbieżysta niż u innych wyżłów, żebra nie wypukłe, biodra szerokie, uda i przednie łopatki silnie rozwinięte i muskularne, nogi proste zakończone stopą okrągłą, palce mocno kosmaciną okryte. Grzbiet szeroki nieco wygięty, ogon niedługi cokolwiek w łuk zgięty, od osady do środka długim włosem od spodu pokryty, ku końcowi ogona kosmacizna znika prawie zupełnie. Całe ciało settera z wyjątkiem przedniej części nóg, pokryte jest długim, miękkim, często falistym włosem. Ubarwienie przeważnie białe, a na białem tle występują łaty koloru kasztanowatego, pomarańczowego, brunatnego lub czarnego, bywają także jednostajnie czarne, nawet z podpalaniem, a maść taka oznacza przymieszkę krwi settera gordońskiego, o którym niżej.

Setter w polu szuka w galopie, lecz prędzej się męczy od pointera; bieg jego nie sprawia szmeru, jest lekko jakby wiatrem niesiony. Wyżeł ten z natury jest wesoły i ruchliwy, lecz przytem mniej karny, dla tego w suchem polu oddalając się znacznie od myśliwego i nie mogąc słyszeć powstrzymującego wyrazu, dopuszcza się czasem wykroczeń, płosząc przedwcześnie zwierzynę. Z powodu lekkomyślności, właściwej tej rasie psów, myśliwy przed rozpoczęciem letniego polowania powinien z setterem powtarzać dresurę, dla przypomnienia mu i wdrożenia obowiązków jakie spełniać powinien. W ogóle psy tej rasy mniej od pointerów zadowalają wymagania myśliwych, za to na błotach setter jest nieporównany, tam znajduje najodpowiedniejszą dla siebie robotę, wystawia długo, wyprowadza wolno i ostrożnie, chłód orzeźwiający go na błocie potęguje jego siły i zdaje się niechętnie opuszczać arenę ulubionego przez siebie polowania. Z porównania dwóch ras wyżej opisanych wypada, że myśliwy powinien pointera używać wyłącznie do suchego pola, a settera do polowania na błotną zwierzynę.

Setter irlandzki różni się od poprzedniego ukształtowaniem głowy, posiadającej wysoką czaszkę, oczami wyłącznie koloru jasnego i policzkami koloru czerwonego; pokryty jest grubszym i więcej szorstkim włosem, na końcu ogona kędzierzawym, kolor włosów kasztanowato-czerwonawy z domieszką czasem białego, lecz tylko na piersiach, tylne zaś części nóg, mianowicie uda, pokryte mocną kosmaciną zawsze koloru brunatnego. Charakterystyczną cechę tej odmiany psów jest brzuch ku tyłowi mocno podkasały na podobieństwo chartów. Psy te przewyższają w wytrwałości i pracy angielskich setterów, lecz z powodu wrodzonego im uporu są trudniejsze do ułożenia.

Setter gordoński jest najcenniejszym przedstawicielem rasy setterów z powodu pojawiających się w nader małej

liczbie okazów posiadających skrupulatnie wszystkie cechy znamionujące nieposzlakowane pochodzenie. Na wejrzenie jest on podobny do irlandzkiego, lecz ma większą głowę, dłuższe uszy, pierś szerszą i w ogóle silniej zbudowany. Największą jednak odrębność rasy tych psów stanowi wyłącznie kolor włosów czarny, pod światło mieniący się w jasno-granatowy, i właściwe podpalanie na pewnych częściach ciała; podpalanie to przedewszystkiem powinno być koloru czerwonego z lekkim odcieniem brunatnawym i pokrywa spodnią część uszów, policzki, niższą połowę warg, podgardle, tylną połowę przednich nóg, przednią stronę tylnych nóg do bioder, wewnętrzną powierzchnię lędźwi, miejscowość pod ogonem i sam spód ogona; koniecznie przytem nad każdem okiem znajduje się niewielka plama podpalona.

Setter Gordon należy w Anglii do psów zbytkowych i bardzo drogo się płaci, a jakkolwiek są zamiłowani hodowcy tej rasy, to jednak zdarza się, że na zwykłych wystawach psów, z pomiędzy setek okazów tej odmiany stawających do konkursu, skrupulatni znawcy jako sędziowie, żadnemu nagrody nie przyznają, taka tam jest ścisłość w rozpatrzeniu i ocenieniu cech stanowiących czystość rasy. Settery gordońskie odznaczają się nadzwyczajną wytrwałością i pracowitością w polu; a tak są obojętne, że znający rzecz swoją myśliwy, bez poprzedniego układania, od razu z nimi w polu robotę rozpoczynać może.

Wyżły tak zwane niemieckie nie odznaczają się żadną oryginalną rasą, z wyjątkiem znanych u nas dobrze psów kurlandzkich, które chociaż na wejrzenie zdają się pochodzić od setterów, to jednak po bliższem rozpatrzeniu można w nich znaleść typy oryginalne. Wszystkie psy niemieckie możnaby podzielić według krajów, które sobie w większej części pewne odmiany przyswoiły. Stosownie do tego możnaby powiedzieć, że są tam wyżły pomorskie, saskie, bawarskie i t. p,; wszystkie jednak są podobne do siebie, saskie tylko odróżniają się po największej części czarnym kolorem włosa i wiele między nimi znajduje się cwajnosów, to jest, mających koniec nosa w podłuż rozdzielony przecięciem na dwie połowy, przez co łatwo kaleczą się do krwi przy polowaniu na ścierniskach lub ostrych trawach. W Niemczech wyżły do roku są zaniedbane, dla tego dziczeją i nie przywiązują się do swego pana, który też sam rzadko się zajmuje układaniem. Po roku rozpoczyna się dressura niemiecką metodą *par force* czyli przymusową; jest to torturowa męczarnia trwająca przeszło dwa miesiące, a pies kończący swoją naukę, w skutek używanej barbarzyńskiej pętlicy, ma niemiłosiernie poranioną szyję i ze strachu staje się powolnem narzędziem każdego, kto go chce użyć do polowania. Ta przymusowa dressura nie musi być chyba konieczną, kiedy wyżły kurlandzkie u nas układają się łagodnymi środkami i wyrabiają się na wyborne psy do suchego pola, a szczególniej do błotnego polowania.

O rasach chartów i ogarów zamilczę ze względu, że biedny nasz zwierzostan długo z upadku podnosić się musi i wymaga zaniechania tego rodzaju pańskiego sportu. Dopuścićby można utrzymywania chartów i gończych z warunkiem używania ich do tępienia drapieżnych zwierząt, lecz do tego nie potrzeba ras specyalnych, gdyż na to wystarczą dzisiejsze mięszańce, tak zwane pokurcze, które nawet większą w tym względzie korzyść przynoszą. Tymczasem miłośnikom polowania na szlachetną zwierzynę w kniei z psami, radziłbym ogary zastąpić taksami czyli jamnikami, które w polowaniu na zające i sarny równą przyjemność sprawiać mogą, nie rozganiając i nie płosząc zwierzyny, a prócz tego, jako zawzięci tępiciele gniazd lisich i borsuczych, zasługują na rozpowszechnienie, przyczem uważać należy, że jamniki czystej rasy powinne mieć na grzbiecie i bokach kolor czarny, a pod spodem podpalony na wzór setterów gordońskich.

Kończąc niniejszy artykuł, raz jeszcze wspomnę o konieczności najrychlejszego zawiązania się kółek towarzystw myśliwskich w celu ochrony i rozmnożenia szlachetnej zwierzyny. Dążność ta powinna przedewszystkiem obudzać się między właścicielami posiadłości ziemskich i objąć jak najszerszą decentralizacyę, opierając się na ogólnej obowiązującej w tym względzie ustawie. Jeżeli dzięki ścisłej solidarności członków takich towarzystw, przy zaprowadzeniu straży polowej i leśnej, powstrzymane zostanie kłusownictwo, tępienie kuropatw i zajęcy środkami zakazanymi, polowanie nielegalne i w niewłaściwym czasie, jeżeli zabezpieczona będzie ochrona zwierzyny na większych terytoryach przez wydzierżawienie polowań na sąsiednich gruntach gminnych i gromadzkich, to w niedługim czasie pod względem gospodarstwa myśliwskiego dorównamy sąsiadom naszym niemcom. Oby ta poprawa z dziedziny projektów jaknajprędzej w rzeczywistość przejść mogła; a gdy pomyślny skutek uwieńczy powszechne starania, gdy będziemy mieli pod dostatkiem zwierzyny, to nie wątpię, że znajdą się również specyalni hodowcy na większą skalę psów myśliwskich rasowych, mianowicie wyżłów angielskich, którzy przyczynią się do wyrugowania tak rozpowszechnionych obecnie przeróżnych mięszańców, a z drugiej strony ze sprzedaży psów takich, osięgać będą niewątpliwie sowity procent od wyłożonego kapitału na utrzymywanie zarodowej psiarni.

Dwa listy o układaniu wyżłów.

Jeden z moich znajomych sprowadził niedawno z Niemiec pięknego młodego „Cetter-Gordon'a". Bojąc się zepsuć psa nieumiejętnem tresowaniem, zażądał wskazówek, jak ma z nim postępować. W odpowiedzi otrzymał od poprzedniego właściciela psa, specyalisty w układaniu, który za niejednego wychowańca medale otrzymał, dwa listy z dokładną instrukcyą. Przeczytawszy te listy nie znalazłem w nich nic nowego, ale za to jasny i treściwiwy opis postępowania z młodym psem bardzo mi się podobał i trafił do przekonania. Dla tego też podaję te wskazówki pod sąd kolegów myśliwych, w nadziei, że niejeden z nich znajdzie i dla siebie cenne wskazówki.

List I. Układanie psa w pokoju.

Wróciwszy po dłuższej nieobecności do domu, wczoraj dopiero znalazłem list Pański i zaraz biorę za pióro, by udzielić rad, jak Pan ma z psem swoim postępować.

Przedewszystkiem mogę Pana zapewnić, że pies pański, jak większość rasowych Setterów, da się łatwo układać, chociaż muszę dodać, że tresowanie Gordonów jest o tyle trudniejsze, że mają one często szalony upór, raz go przełamawszy, ma się z nich wyborne psy.

Zwracam uwagę pańską, że wszystkie angielskie psy pełnej krwi są gwałtownego temperamentu, w skutek tego szukają zawsze gorączkowo i chętnie daleko odbiegają. Przeciw temu trzeba działać tresurą, co nie jest trudnem, gdy się konsekwentnie krok za krokiem postępuje.

Najpierwszą i najważniejszą rzeczą jest, by pies układany był bezwzględnie posłuszny, a jest to tem więcej pożądanem u gorących angielskich psów.

Gdy pies już pana swego zna, wiąże się go na łańcuch, pamiętając wszakże o tem, by pies codzień przez jaką godzinę używał ruchu; nie powinien wówczas spotykać się nigdy ze zwierzyną. Raz na dzień bierze się go na korale z nie grubą, około 2$^1/_2$ metrów długą linewką i idzie się z nim na spokojne, obszerne miejsce, np. do jakiej szopy, lub dużego pokoju, gdzie się psu każe siąść. W tym celu, wymawiając słowo: „siadaj“, przyciska się łagodnie do ziemi tył psa, podnosząc jednocześnie łeb do góry za krótko trzymaną linkę od korali. Po kilku próbach pies sam to czynić będzie na rozkaz „siadaj“. Teraz stając po prawej stronie psa i ciągle krótko linkę trzymając, mówi się „allons!“ i przechodzi się z nim po pokoju we wszystkich możliwych kierunkach, nie mówiąc przytem ani słowa, nawet wówczas, gdy się pies na lince szamoce. Zauważywszy, że pies jest zmęczony lub znudzony, każemy mu siadać, jak przedtem, i chwilę odpoczywamy, poczem rozpoczyna się spacer na nowo.

Pierwsze lekcye powinne trwać pół godziny, później nieco dłużej, a nawet mogą być dwa razy w ciągu dnia powtarzane.

Gdy pies już to dostatecznie pojął, przystępujemy do następnego ćwiczenia. Skoro pies na otrzymany rozkaz siadł, mówi mu się „siedź“ a samemu odchodzi się tyłem, by z psa, który się podnieść nie powinien, oka nie spuszczać. Prędko on to pojmie, a widok rózgi, niezbędnej przy lekcyi, dużo tu znaczy. Po paru minutach bierze się znów psa na linkę i rozpoczyna się krótki spacer po pokoju; tego przy układaniu psa nigdy za dużo nie bywa. Potem znów pies niech siada a układający probuje trochę dalej odejść, powtarzając ciągle psu „siedź“. Nie należy żałować psu pochwał i głaskania, które powinien otrzymywać zawsze, gdy swe zadanie dobrze wykonywa. Po 4—5 dniach pies dokładnie to pojmie, trzeba tylko co dzień lekcyę powtarzać.

Teraz z kolei przystępuje się do nauki warowania. Gdy pies siedzi, mówiąc „waruj!“ i trzymając go krótko za linkę, wyciąga się przednie łapy tak, by pies leżał na brzuchu, a łeb, lekko przyciskając, układa się między przednie łapy; ogon powinien być wyciągnięty. Przez parę chwil przytrzymujemy psa ręką w należytej pozycyi. Gdy pies się nie rusza, powtarzając „waruj“, probujemy się oddalić. Pies szybko to pojmuje, szczególniej, gdy widzi rózgę. Stopniowo probujemy odchodzić coraz dalej, wracając pospiesznie i przyciskając łeb, przy słowach „waruj“, skoro tylko pies go podniesie. Po kilku minutach świśnięciem, pociągając współcześnie za linkę, uwalniamy psa i znów przez chwilę spacerujemy z nim po pokoju. Po skończonym spacerze pies znów powinien warować lub siedzieć.

To są najważniejsze ćwiczenia; konsekwentnie prowadzone, stanowią one podstawę dalszej nauki. Powtarzać je trzeba około dwu tygodni bardzo starannie, dopóki pies bez pomocy, wszystkiego wykonywać nie będzie. Słowo „waruj“ powinno piorunująco działać na naszego ucznia. Trzeba czasem poprzeć ustny rozkaz lekkiem uderzeniem rózgą, a pies wkrótce będzie na rozkaz natychmiast warował i równie szybko podnosił się na świśnięcie.

Następnem zadaniem jest aportowanie, którego się uczy na lekkich i miękich przedmiotach, zwracając uwagę, by pies nie gryzł niesionych przedmiotów. Wyrazy najczęściej używane do komendy są „apporte“ i przy odbieraniu: „lekko“.

Na tem kończy się tresura pokojowa; gdy pies ją dobrze posiada, powtarza się ją przez czas jakiś na otwartem powietrzu.

Biorąc psa na spacer, nie należy mu pozwalać oddalać się, lepiej go na lince prowadzić.

Psy angielskie pojmują bardzo szybko, ale też układający powinien być nadewszystko przezornym, spokojnym i wytrwałym.

List II. Układanie psa w polu.

Cieszę się niewymownie, że pies pański z taką dokładnością wszelkie pokojowe ćwiczenia wykonywa. Wiadomem jest powszechnie, że psy angielskie rasowe są dużo pojętniejsze od innych, a szczególnie od niemieckich, ale też zadziwiająco spostrzegają, jak to już wspominałem, błędy swego kierownika, i na jego szkodę umieją z nich korzystać. To też nie można sobie pozwalać żadnej słabości i żaden narów płazem ujść nie powinien. Szczególniej koniecznem jest to na polowaniu. Gdy n. p. młody pies pogoni zająca, najlepiej zaraz wziąć go na linkę i nie dać już więcej szukać w dniu tym; kara taka więcej poskutkuje niż najcięższe plagi. Nadmierne bicie w ogóle jest nie na miejscu; jeżeli już koniecznie taką karę trzeba wymierzyć, radzę wówczas przez dłuższy czas, choćby kwadrans, bić psa lekko delikatną rózgą lub paskiem, dodając słowne napomnienia. Z doświadczenia wiem, że pies więcej się boi tych długotrwałych, choć niezbyt boleśnych chłost, niż dotkliwych razów.

Przystępuję do uwag, jakie radziłbym Panu mieć w pamięci, wyprowadzając psa w pole.

Zaopatrzywszy się w cienką ale mocną linkę około 10 metrów długą, kładziemy psu korale (przyczem on siedzieć powinien), linkę mocno przywiązujemy i trzymając ją krótko lewą ręką, mówimy psu: „allons“ i prowadzimy w miejsce, gdzieśmy zawczasu upatrzyli młode kuropatwy. Mojem zdaniem jest to zwierzyna najbardziej nadająca się do układania młodego wyżła.

Zaczynamy od tego, że każemy psu siedzieć, potem odbywamy z nim spacer, jak ongi po pokoju. W ten sposób pies wkłada się do „przekładania“ i nie będzie chodził w prostej linii.

W pokoju trzymaliśmy psa krótko, a tu puszczamy go na długość linki zachęcając do szukania słowem „szukaj“. Gdy się pies zanadto będzie rwał, korale wskażą mu dotkliwie, że to jest wzbronione. Jeśli się porwie jaki ptak i pies chce go gonić, ściąga się krótko linkę, mówiąc

„fe! mały ptak“. Jeśli pomknie zając, wołamy „waruj“ i pies ma leżyć dopóty, póki znów „allons“ nie usłyszy. Gdy pies podniesie nos do góry i zacznie ściągać, mówimy mu kilka razy „wolno“, głaszcząc go przytem; gdy stanie twardo, pozwalamy mu stać czas jakiś, głaszcząc i powtarzając „wolno“. Po chwili bierzemy go krótko i odwołujemy, pociągając z lekka za linkę. Następnie przez czas jakiś krążymy po polu, wracając znów w miejsce, gdzie są kury, uważając, by iść pod wiatr. Gdy pies stanie powtórnie, powtarzamy poprzedni manewr. W ten sposób nauczymy psa, by wracał na każdy rozkaz. Dobrze jest idąc pierwszy raz w pole, mieć kogoś ze sobą, któryby kuropatwy płoszył, wówczas silnem szarpnięciem linki i słowem „waruj“, powalamy psa na ziemię, gdyby je chciał gonić. Po pewnym czasie psa odwołujemy i rozpoczynamy poszukiwania na nowo. Jeżeli pies wystawi zająca, postępuje się zupełnie tak samo, tylko należy uważać, by pies nie szedł za śladem ruszonego zająca. Powtórzywszy to przez dni kilka przekona się Pan, że pies sam będzie warował przy porywaniu się zwierzyny.

Teraz możemy już linkę puścić i psu pozwolić swobodnie szukać, trzymając go jednak w niewielkiej odległości. Gdy „stanie“, bierzemy za linkę dość długą, a towarzyszowi każemy zwierzynę spłoszyć, jeżeli pies będzie chciał się za nią rzucić, poczuje wraz korale i sam będzie warował. Gdyby pies po wielu próbach nie przestawał rzucać się w pogoń za zwierzyną, kilka uderzeń rózgą i targnięć za korale przy słowach „waruj, waruj“, są konieczne.

Skoro pies robi już wszystko jak należy, można rozpocząć strzelać. Według mnie, wygodniej być wtedy we dwu. Gdy pies twardo stanie, trzymamy mocno linkę, a towarzyszowi zlecamy spłoszyć kury i strzelać na wiatr; jeżeli pies skoczy na strzał, mówiąc „waruj“ ściągamy go mocno, w ten sposób w krótkim czasie nauczymy psa po strzale warować. Jest to rzecz bardzo ważna na polowaniu, wszak kuropatwy nie zawsze rwą się odrazu całem stadem, pies rzucając się po zabitą pierwszym strzałem, płoszy pozostałe, przeciwnie gdy pies po strzale waruje, możemy broń powtórnie nabić i dalej strzelać.

Dopiero teraz, gdy pies po strzale nie rzuca się, można rozpocząć właściwe polowanie i teraz dopiero pozwalać psu zabitą sztukę aportować, jeżeli w ogóle ma to robić w pierwszem polu. Ja na to nie nastaję, bo pies w pierwszem polu zanadto daje się unosić zapałowi myśliwskiemu i nieraz zamiast warować, rzuca się po spadłą z pierwszego strzału sztukę. Gdy poluję z młodym psem, to kiedy strzelam do kur, pies leży, sam podnoszę zabitą i dopiero z ręki każę mu aportować, albo też schowawszy kurę, każę „szukać zguby“, a gdy do znalezionej stanie, pozwalam mu ją przynieść. Przeciwnicy tej metody twierdzą, że w ten sposób dużo kur postrzelonych ginie, nie sądzę; postrzeloną pies prawie zawsze prędzej lub później znajdzie, a w dodatku przy moim sposobie postępowania, odzwyczajam psa od rzucania się na strzał w ogóle, a więc i na strzał innego myśliwego, jak się to na zbiorowych polowaniach zdarza. Przez całe pierwsze pole radzę, by pies miał zawsze na szyi krótką linkę, a nawet, gdy nie ma szukać, lepiej go prowadzić, w ten sposób żadnych narowów nie nabierze i będzie umiał chodzić za nogą.

Nigdy nie pozwalam psu młodemu łapać zbarczoną kurę, ale prowadząc go na lince, każę za nią postępować, a gdy już jest blisko, kazawszy psu warować, dobijam kurę strzałem. Nigdy też nie pozwalam psu przeznaczonemu do ptasiego polowania aportować zająca, a nawet przed takim zajęcy nie strzelam, chyba że jest wyjątkowo spokojny i nie jedno pole ma za sobą. Nie uwierzy Pan, jak to psuje młodego psa.

Na zakończenie dodam jeszcze jednę uwagę, niech Pan nie pozwala młodemu psu chodzić po lesie, bo on się tam będzie zanadto zapalał; do polowania w gąszczach potrzeba już zupełnie pewnego psa.

Widzi Pan z tego, com tu powiedział, że układanie psa nie małe przedstawia trudności, ale przy spokoju i wytrwałości dochodzi się do zadziwiających rezultatów.

Tłomaczył *Bolesław G.*

Warszawa 4. Października 1887 r.

W GŁUCHĄ JESIEŃ.

Przez

Aleksandra Ubysza.

Rzecz to stwierdzona: zamknij w klatce na lat kilka starego ptaka, to latać zapomni. Człowiek też zapomni, kim był, gdy go los na niewłaściwy grunt przesadzi. Otóż wiedząc o tem, staram się korzystać z każdej sposobności, by duchem i ciałem nie zaleźeć pola i wyruszam na pole, w bór, bo to dla mnie najlepsze *arcanum*, odmładzające jeśli nie ciało, to duszę.

Furka, ciągniona parą chłopskich koników, zajechała przed dom, ja według ruskiego przysłowia: „wstaw, operczawsia, zo wsim zabrawsia“, pochwyciwszy mój gwintowany, z góry nabijany sztucerek, wskakuję na wóz, ts! ts! (trudno to określić) zasyczał na swe rumaki pan Mekita ze wsi Czupernosowa — i jedziemy.

Jeśli wedle przypowieści „każdy człowiek ma swego mola, co go gryzie“, niemniej też posiada, w mniejszym lub większym stopniu, jakąś właściwość, nie zawsze miłą dla swych bliźnich. Taką niestety i ja posiadam właściwość, mianowicie temperament mimo wieku i doświadczenia wrażliwy i ruchliwy. Mniej on razi w mieście lub między czterema ścianami, ale w podróży dochodzi do zenitu. Rad widzieć wszystko, co się dzieje w polu lub lesie, rozpatrzeć okolicę, każdy najdrobniejszy szczegół, latam jak opętany, jadąc koleją żelazną, od okna do okna. Na wozie siędząc kręcę się jak fryga w prawo i w lewo, burząc siedzenie wraz z okrywającym je kilimkiem. Cóż na to towarzysze podróży? Bóg im to jako pokutę za grzechy policzy!

„Nie ma tu co widzieć“ — mówi do mnie towarzyszka podróży, wcale nie szpetna, więc zapewne obrażona, że jej całej uwagi nie poświęcam, a właśnie dojeżdżaliśmy do lasów Krzywczyc, Lesienic i Winnik.

„Gdy liść zwiędły się przegania,
Ziemia wonczas zda się marzy“.

Powiedział Pol. O czem marzy ziemia? O przyszłości, o wiośnie, a człowiek widząc liść zwiędły, gnany wiatrami, o przeszłości. I ja o niej marzyłem, bo miejsce to przypomniało mi zdarzenie, w którem sam brałem udział. W roku podobno 1853. wypadła mi droga powrotu do Kamienopola na Winniki. Było to w jesieni, naraz słyszę niedaleko w lesie grające gończaki. Pieśń ta urocza przyjęła mnie gorącym potem. Po chwili wypada kopyra na środek gościńca i „tyc“ zasłupkował przed moimi końmi, wysłuchując, jak gończaki zgubiwszy jego trop, bąkały w dali. To było nad moje siły, zeskakuję z wózka i skaczę do zająca, który zasłuchany zrazu nie dostrzegł mej obecności. Już mam go pochwycić, ale pomknął, ja jak 20 letni młodzieniec ruszam za nim z kopyta, a chłopak porzuciwszy konie, za mną. W tem w pobliżu pada strzał, spłoszone nim konie pomknęły w szalonym pędzie. Ujęto je w Winnikach, a ja z chłopcem, niestety bez zająca, odbyliśmy znaczną przestrzeń *per pedes apostolorum*, co znacznie ostudziło mój zapał, wywołany graniem ogarów. „Szkoda — mówi mi towarzyszka podróży — zając z rożna bardzo smaczny“. Zły jak sto dziabłów nic nie powiedziałem, alem sobie przypomniał sentencyę:

„Chyba babskiej natury nic już nie przemieni,
Chłop myśli o myśliwstwie — ona o pieczeni“.

Smutno, pusto w późnej jesieni! Smutno patrzeć na drzewa, ogołocone z liści, wiatr jedne postrącał, resztkami zaś ich szeleści, szumi tak żałośnie, że mimowoli dusza boleśnie się rozmarza. Na ów jesienny *spleen* jedyne *remedium* — łowy, choćby tylko zasłyszane zdala w głosie trąbki myśliwskiej lub graniu ogarów. Chyba kameduła, z sercem polskiem, na taką muzykę, będzie się jeszcze trapił smutnemi myślami. Nie pusto, nie martwo w tej porze w lesie, bo go zwierz dziki ożywia. Zanurz się w głąb boru, stój cicho, a wnet czy to wcześnie rano, czy wieczorem tu lub owdzie usłyszysz szmer, poruszający duszę, to stadko sarn w pochodzie na żer liściem zeschłem szeleszcze. Owdzie pomknął zając, to lis cicho jak złodziej stąpa po liściach, nie usłyszysz go, chyba dojrzysz. Ot i masz rozkosz niebiańską. Zresztą — prawda — głucha ta jesień i smutna, prócz szelestu liści inne się głosy nie odezwą. Kos, drozd, wilga i inni spiewacy leśni albo się wynieśli w obczyznę na zimę, lub umilkli aż do wiosny. Nawet najwytrwalsze w spiewie makolągwy i trznadle — żółtobrzuszki, od Października począwszy milczą aż do Adwentu, żeby później choćby w mroźny lecz słoneczny dzień spiewać na pociechę zimą osmutniałej przyrody. Głucho w lesie i na polu o tej porze, dla tego to praojcowie nasi nadający nazwy wszystkiemu, co pod ich zmysły podpadało, nazywali miesiące Październik i Listopad głuchą porą roku, bo choć wtedy czasem sojka zawrzeszczy lub wrona zakracze, to nie przerwie tem głuszy, bo nie przemówi do duszy. Lud ruski nazwał jesienne krakanie wron spowiedzią. Raz w taką głuchą jesień błąkałem się, smutno nastrojony po lesie, cisza była grobowa, nawet sójki się nie darły, naraz wrona poczęła krakać, a towarzysz mój Ołeksa rzecze: „Oho! worona sia spowidaje, bude śnih i moroz, pokłykuje ona *wkrraau*, *wkrraau*, szczo pokrała czerez lito, z toho sia teper spowidaje“.

Ale wracajmy na wózek, który mnie ku nieznanym okolicom wiezie. Nagły zjazd, jak to mówią z pieca na łeb, z bitego gościńca w dół ku prywatnej drodze, zwrócił myśli moje z krainy marzeń i wspomnień w rzeczywistość nie nader miłego położenia, woźnica bowiem, prawdziwie chłopskim obyczajem, zaciąwszy konięta batogiem, pomknął jak strzała ze stromego pagórka. Okolica, którą wiedzie do Winnik gościniec, zmieniła swój typ, z górskiej stała się równiną, a nawet opolną, z swymi w dość znacznej liczbie tu i owdzie sterczącymi kamiennymi, domorosłej roboty, krzyżami, które ztąd aż na głębokie Podole sięgają, a wszystkie one jednego kształtu i rozmiaru. Ale oto i góra Romanowska, u której stóp rozlega się duże, malownicze sioło. Starodawne czasy pamiętająca droga ciągnie się wzdłuż skalistej góry, szczytem swym, najeżonym szczerniałymi głazami zwodniczo do ruin jakiegoś starego zamczyska podobnej. Wjeżdżamy w prawdziwy bór, należący do ordynacyi hr. Potockich. Istotnie czołem uderzyć w obec takiego boru i oddać cześć i sprawiedliwość umiejętnemu gospodarstwu leśnemu. Oto czernieje omszały bór dębowy, bukowy, w ogóle mięszany, jednak bez sosen, świerków lub modrzewi. Dobrze pojęta nauka zaradziła temu w tej okolicy przyrodzonemu brakowi drzew budowlanych, wycięto bowiem w rewirze, zda mi się „Gniła“ czy „Kopań“, znaczną przestrzeń drzew mniej pożytecznych i zasadzono rzędami sosny, świerki i modrzewie. Wzorowa symetrya, umiejętność w zastosowaniu sztuki do przyrodzonych właściwości gatunków sadzonych drzew, zachwyciły mnie, zdawało mi się bowiem, że znajduję się w ogrodzie Szkoły leśnej we Lwowie, w której adepci nauki leśnictwa czerpią skarby wiedzy z teoryi i praktyki. Pod czyjem kierownictwem działo się to wzorowe zalesienie, dowiedziałem się dzięki szkapiętom, który mnie wiozły. Jak dobrze wiadomo, konie chłopskie dziwny jakiś ku karczmom czują pociąg, więc też i moje stanęły przed dużą murowaną, obdrapaną karczmą. Nawinął się jakiś człek, więc pytam, czyj to rewir z owym zasadzonym, szpilkowym lasem? „A ot toj — odrzekł wskazując reką — oberlisnyczy Kisielewskij, szczo onde meszkaje“. — „A zwiryna u was je?“ — „Czomuby ne buła, sut dyki, serny, taj zajaci“. — „A lude ij łowlat?“ — „A ha! łowyu by tomu Kisielewskij taj i druhyj“ — odpowiedział z przeświadczeniem prawdy, nabytej może własnem doświadczeniem.

Prześliczna to w swoim rodzaju była okolica, na szczycie góry Romanowskiej rozciąga się równina górska na przestrzeni niemal milowej aż ku miasteczku Świrzu, a środkiem wiedzie droga. Zarząd tych rewirów prócz wzorowego gospodarstwa leśnego kultywuje też starannie łowiectwo. Leśnicy nasi nowej daty skarzą się na szkody przez sarny w kulturach leśnych wyrządzane, nadleśniczy Kisielewski poustawiał między rzędami sadzonek tryzubki, słomą pokryte, mieszczące w sobie śród zimy, zwłaszcza zawalnej, żer dla sarn, owies niemłócony, konicz, wykę lub siano, więc też nie zna szkód w kulturach. Wzorowa ta leśna i łowiecka gospodarka znalazła godnego naśladowcę, o którym niżej wspomnę.

Rumaki spoczęły, ruszamy więc dalej w stronę, której nieznałem. Lasy to przeważnie ordynacyi hr. Potockich, więc wszędzie ład i porządek. Las ten miejscami bez podszycia lub poszyty młodnikiem, a zręby gęsto

porośnięte. Istny to raj dla zwierzyny, bo jest i schronisko i żerowisko, żołędzi i bukwy mnóstwo. Wśród rewirów muszą być źródła, więc sarna trzyma się stale, nie potrzebując dalekich robić wędrówek za poidłem. O ile na oko osądzić zdołałem, znajdują się w części lasów, przytykających do łąk wsi Gniłej, moczary lub młaki, wyborne i ulubione barłożyska dla dzików, w których jako niezamarzających w zimie parzyć się czyli wygrzewać, podczas skwarów letnich, chłodzić się lubią. Rzadszym być musi zając, bo to nie dla niego okolica. Lasy należące do wsi Kopani lub łacińskiego proborstwa Świrza, z licznymi zrębami, zdaje mi się, służą sarnom całej okolicy do słonecznych kąpieli lub jako żerowiska wczesnej wiosnie.

Niedaleki już cel mojej podróży, Kimirz, a raczej jego leśniczówka. Zmrok zapada, jak Marek po piekle tłuczemy się drożyną wiodącą środkiem korczunku, co chwila wóz zawadza osią lub dyszlem o wykopany pień buka, wreszcie dobieramy się do lasu, zwanego „Na mogiłach“, w środku którego dawno wycięta linia wiedzie do Kimirskiej leśniczówki. Jeżeli Mickiewicz w sonetach krymskich podróż przez bujne trawy stepu porównał do statku płynącego po wodach oceanu, to wóz, którym jechałem, literalnie zanurzał się w liściach zeschłych, grubą warstwą zaścielających tę przestrzeń. Zabłysło wreszcie światełko, miła przystań dla mnie po całodziennej nużącej podróży.

Okolica ta od góry Romanowskiej począwszy, obejmująca Gniłę, Kopań, Świrz, Kimirz, Czupernosy, lesista, górzysta, poprzerzynana szerokimi wądołami czyli jarami, którymi, jak wyraźnie wskazują ślady, dawniej płynęły rzeki lub rozciągały się moczary, dziś w niej rozsiadły się sioła i przysiółki. Okolica ta leży według mego mniemania, w odnodze Karpat, z górami różnej nazwy, jak Romanowskich, Woroniaków, Gołogór i t. d. Pasmo tych gór wznosi się w stronie zachodniej niemal pionowo, mianowicie od wsiów Romanowa, Gajów, Głuchowa, miasteczka Mikołajowa, wreszcie Kochajowa. W stronie wschodniej wytwarza się rodzaj wału, do którego przylegają wsie Lackie, Jasionów i inne na równinach leżące. W stronie południowej staczają się te góry, jak to widzimy podczas podróży nową szosą Przemyślańską-Bobrecką, najwybitniej ku szerokiemu jarowi, którym się wije kolej żelazna Lwowsko-Czerniowiecka od wsi Stoki, zkąd widać znacznie niżej położoną wieś Rudniki, a dalej miasto Bóbrkę. Pasmo tych gór stanowi dział wód wschodniej Galicyi. Jedne w północnej stronie toczą swe wody do Bugu, więc do Bałtyku, wypływające zaś po stronie południowej do Dniestru czyli ku morzu czarnemu. Lasy na całej tej przestrzeni od Romanowa aż ku Bóbrce mają drzewostan mięszany liściasty, jest tam jawor, klon, brzost, jasion, dąb, a przeważa buk. Miejscami rośnie tu olsza czarna, szara zaś trzyma się wyłącznie Karpatów właściwych. Olszyna czarna tu rosnąca w raz z dębiną, świadczy wyraźnie o odmienności gruntu i formacyi gór tego pasma — obszerne to pole dla badań geologicznych. W jarach, które w znacznej głębokości wyżłobiły wody potoków, jawi się kamień z znacznym procentem wapna, gdzieniegdzie nawet czysto wapienny. Z pierwszego gatunku w obfitych pokładach łomu Czupernosowa, wyrabia domorosły Kanova owe starodawnego stylu krzyże kamienne, o których już wspomniałem. Okolica to czysto górska, mniej jednak skalista, poszarpana przez walkę żywiołów, jak na Podbeskidziu i Beskidzie właściwym. I gleba tu stokroć więcej, jak tam urodzajna, a nawet na południowych lub wschodnich łagodnie stoczystych polach, mamy tu czarnoziem podolski.

Lasy Uszkowic i Kimirza, wzorowym porządkiem cięte, w niczem pod względem drzewostanu nie ustępują lasom ordynacyi hr. Potockich. Są tu dęby, klony, jawory i buki, jakie chyba na Podbeskidziu spotkać można, smukłe, szczytne a grube, niedzisiejsze one pamiętają czasy. Jak mi mówiono, dobra te wraz z Świrzem były dobrami stołowemi starostwa grodzkiego lwowskiego. Jako własność koronna przeszły po zaborze Galicyi w posiadanie rządu austryackiego, który je przed laty 40 sprzedał p. Pierzchale. Dobra te miały wiele lasów, a zbyt mało ziemi ornej, więc p. Pierzchała i terazniejszy ich właściciel p. Roman Wybranowski poczynili korczowiska, na których dziś jakby w borach amerykańskich, powstało kilka ferm czyli folwarków z wyborną czarną pszeniczną glebą. Jeżeli nowy właściciel Uszkowic i Kimirza słusznie cieszy się sławą dobrego rolnika, to niemniej pod względem gospodarstwa łowieckiego owa sława sprawiedliwie mu się należy. Wszelkie poczyniono tu starania, idąc za przykładem zarządu lasów ordynacyi hr. Potockich, około racyonalnego prowadzenia łowiectwa, żywienia zwierzyny pożytecznej, stawiania w miejscach odpowiednich tryzubków z żywnością w zimie i lizawek. Jedną tylko lasy te osobliwie Kimirza posiadają niedogodność dla zwierzyny, szczególnie płowej i zajęcy, że są zbyt zwarte, więc ciemne i niczem nie podszyte, zwierz przeto nie mając zacisznego oparcia, jest rzadkim. Niedawno poczynione zręby zbyt jeszcze są nagie, więc chyba jako żerowisko zwierzynie służyć mogą, wcale nie dając jej schronienia, a jak wiadomo, sarny obierają ostoje w środku, a zając zakłada kotlinę w skrajach gąszczy.

Rewir Kimirz przedstawia się imponująco, wysmukłe, stare drzewa, mimo spadłych liści, zasłaniają błękit nieba tak, iż trudno się w nich orjentować. Wybrawszy się w las bez leśniczego p. Sozańskiego, zbłądziłem i nie mogłem znaleść kierunku leśniczówki. Któryś z poetów naszych, piękny dając obraz borów, zapewne również w nich błądząc, szczęśliwszym był jednak odemnie, bo mówi:

„Tutaj zachód, a tam wschód,
Tu południe, północ tak,
Przez pustynię lasów, wód,
Cztery wiatry wieją wspak,
Ponademną niebios szlak,
A podemną dziki step“....

Nie martwiłem się ani zatrworzyłem z tej przyczyny, nie w takich tarapatach bywałem w Beskidzie, a dawałem sobie radę. Różne różni podają sposoby orjentowania się w takim razie, ja się trzymałem starodawnej sentencyi:

„Co wskażeć zwierz — temu li wierz!“

Zwierzyna dzika wskaże ci na pewne skraj boru, w którym zbłądziłeś, względnie w miarę pory dnia. Rankiem sarna, lis lub zając, wracając z żeru, dążą w głąb lasu, przed wieczorem, wychodząc na żer, wychodzą ku skrajom, do których przylegają pola. Moim przewodnikiem było stadko sikorek. Dzień był pochmurny, śnieg czy deszcz wisiał na horyzoncie. Usiadłszy dla wypoczynku, ciekawie przypatrywałem się kilkunastu sikorom, jak obsiadłszy konary niewysokiej osiki, po jednej spuszczały się na ziemię, a po chwili wracały na drzewo, trzymając w dzióbku ziarnka bukwy. Podtrzymując je obiema łapkami dziobały, „kuły“ zawzięcie w celu rozbicia dosyć grubej łupki i dobrania się do smacznego i tłustego jądra. Ostry, chociaż

pozornie wątły dzióbek sikorki, wybornem jest narzędziem do wykonywania tej operacyi. Najsłabsze nawet nasienie maku spożywają sikorki kując. Z tego powodu zowie lud sikorkę „kowałyczką“ lub „synyczką — kowałyczką“. Pieśń gminna głosi:

„Ej synyczko — kowałyczko!
Kujesz w okinoczko,
Moroz bude, każut lude!
Ni! — myłyj prybude“...

Metereologia ludowa utrzymuje, że zbliżenie się sikor ku mieszkaniom ludzkim zapowiada ostrą i śnieżną zimę, czy też, jak twierdzi baśń, jest ono również pośredniczką miłośną, jak mówi powyższa piosnka, tego nie wiem, niech to płeć piękna zbada.

Trzy są gatunki sikor, stale u nas przebywających. Sikora-popek, z główką czarną, ciałem brudno-szaro upierzonem. Sikora większa, zwana „zielonką“ z powodu upierzenia piersi piórkami blado-zielonemi, wreszcie sikora-żydóweczka, najmniejsza z nich. Gdy zima ma być ostrą, naprzód jako jej zwiastunki przylatują wcześnie w jesieni sikorki-popki, po nich sikora większa, wreszcie sikorki-żydóweczki. Wielokrotnie o prawdzie podań ludowych przekonałem się. Wczesne a liczne pojawienie się sikor, osobliwie żydóweczek, jest niezawodną odznaką ostrej zimy. Gdy wszakże trzymają się stale lasów bukowych lub szpilkowych, żywią się nasieniem buka, lub kują szyszki świerka, jodły, sosny, a nawet modrzewia, jest to nieomylnym znakiem, że nie prędko jeszcze zima zawita. Skoro śnieg grubą warstwą pokryje w lesie grunt, a więc i bukiew, najulubieńszy żer sikorek, to one stadami dążą w pobliże siedzib ludzkich, gdzie żywią się poczwarkami, zasnutemi w ścianach i szparach budynków, lub też obierają z drzew owocowych gąsieniczne zarodki, zwane „liszkami“.

Wracam do lasu, w którym zbłądziłem. Stadko sikorek pożywiwszy się do syta, frunęło dalej, nigdzie się nie zatrzymując. Poszedłem w tę stronę i nie zawiodłem się w moich domysłach, że sikorki przeczuwając zmianę powietrza zbliżały się ku zabudowaniom ludzkim, wkrótce też doszedłem za niemi do linii, wiodącej do leśniczówki. Zaprawdę urocza to była linia, las zwarty wysokodrzewny, liściasty, środkiem jego jakby szpaler w starym parku włoskiego stylu, wiedzie droga równa, w prostej linii wycięta. Drzewa, jakkolwiek droga szeroka, rozłożystymi konary utworzyły istne sklepienie. U jednego i drugiego skraja w oddali, niby dwa przeciwległe okienka, któremi światło dzienne w ten ciemny kurytarz zaziera. W lesie szczególnie gdy liść bujny pokryje drzewa, musi tu być wrażenie czarujące.

Lasy Kimirza, jak już nadmieniłem, zaszanowane, cięcia sekcyi odbywają się według racyonalnych norm, jednakże jako przeważnie bukowe, mniejszej są wartości. Zaradzono temu w części zagajając halawki i skraje lasu, osobliwie znaczniejszych rozmiarów bezdrzewną przestrzeń od wsi Czupernosowa, sadzonkami świerka, sosny i modrzewia. Halizna ta jak uważałem, posiada grunt nieco moczarowaty, więc z tego powodu po kilka lat mające sadzonki źle prosperują. Obecny leśniczy p. Sozański zasadził w miejscach, w których sadzonki drzew szpilkowych zupełnie się nie udały, bo wcale wyginęły, młode jasiony, którym, jak słusznie powiedział jeden z leśnych, „zlubiło“ się na tem miejscu, odrazu się przyjęły i bujny wypuściły liść.

Drzewostan lasów Kimirza, jak już powiedziałem, jest mięszany. Spotkać tu można nie rzadko i lipinę, znalazłem jedną, prawdziwą królowę nie tylko między towarzyszkami swego rodu, ale może nawet najstarszą śród drzew lasów okolicznych. Widziałem we wsi Jasieniu, koło Ustrzyk dolnych, w ziemi Sanockiej, obok kościoła i cerkwi, olbrzymich rozmiarów lipy, sięgające, według podania ludowego, czasów napadów tatarskich, zapuszczających zagony swe aż po wieś Czarną. Jasieńskie lipy owe, o których wspomina także W. Pol, są zaprawdę olbrzymie i sędziwe, jednakowoż lipa Kimirska niezawodnie o wiele starszą, jak one, być musi. Pień, wewnątrz dziupławy, nader wysoki i gruby, od odziomka aż ku wierzchołkowi, zewnętrznie pokryty różnej objętości gulami, które przy skąpych konarach nadają drzewu dziwną i oryginalną postać. Odległe owa lipa pamięta czasy, może ona współczesna lub starsza od siedmiu mogił, znajdujących się w południowej części Kimirskiego lasu, zwanej od nich „Czarne mogiły“. Z jakich czasów i wojen one pochodzą, o tem nawet zgrzybiały leśny Dmytro nie umiał wyjaśnić. Czyje kości pod niemi spoczywają? Może pohańców z potrzeby Zborowskiej z czasów Jana Kazimirza, lub najezdzców szwedzkich. Bliskość starego zamku w Świrzu każe się domyślać, że mogiły te mieszczą w sobie kości olegających ów zamek. Zamek wcale nie wielki, ale zapewne był dosyć obronny, o czem świadczą ślady całkowicie dziś osuszonych moczarów. Dostępu do jednej bramy zamkowej bronił most, dawniej zwodzony, dziś stały na murowanych słupach nad fosą. Kto ów zamek budował, nie wiadomo. Obecny właściciel Świrza zasłużył się dźwigając z ruin ów zamek, cześć się należy za to p. Czajkowskiemu.

Ale czas już powracać do Lwowa. Ruszyłem do niego inną drogą, bo na Bóbrkę. Prawdziwą rozkoszą był dla mnie widok zamku Świrskiego od strony południowej, istotnie nader uroczy. Droga kamienna ku Bóbrce i stacyi kolei żeleznej, aż ku wsi Stoki, wiedzie środkiem lasów górzystych. Jałowy tam grunt, lasy bukowe lub brzozowe, z przymieszką olszyny, jakkolwiek zaszanowane, smutny dają obraz. Obsiadł je bowiem mech popielatej barwy, wyraźny objaw choroby całego drzewostanu. Docieram do stacyi kolei żelaznej, przesiadam się do wagonu i — bywaj zdrowa jakkolwiek głucha, lecz dla mnie miła leśna jesieni, gwarna lwowska jesień nie wyprze cię z wiernej mojej pamięci.

*

Geografia łowiecka.

Broń myśliwska i sposoby polowania

przez

Dra J. FOICHTINGERA.

(Ciąg dalszy).

Od Rio Negro i Amazonek rozszerza się ów sposób zatruwania jakby w promieniu na wszelkie strony kontynentu. U brzegu gór z piaskowca wyższego Orinoko stoją całe lasy wysmukłej trzciny, dostarczającej wiatrówek. Pień wznosi się zupełnie bezlistny do wysokości 15 stóp i wyżej, od której dopiero liść się pojawia. Ważne to jest dla fabrykacyi owej broni. Gdzie się liść oddziela, wyrastają zgrubienia i guzy wewnątrz wydrążenia, nie dozwalające użycia trzciny na wiatrówkę. Przecięcie wydrążenia trzciny, która daleko na targ wychodzi, wynosi 4 do 9 linii. Koniec, przeznaczony do przytykania ust, opatrzony oprawą w celu ochronienia ust od odłamków, przeciwny zaś koniec zabezpieczony od zużycia i zniszczenia. Dwa utkwione zęby małych gryzoniów służą jako cel. Właściciele dmuchawek wysoko je cenią i nie wahają się przypisywać im wyższych przymiotów, jak broni palnej. Naoczni świadkowie przyznają podziwienia godną zręczność, z jaką oni noszą ową broń, na 15 do 20 stóp długą, bez uszkodzenia jej, pośród gąszczów leśnych, a oraz pewność w użyciu jej. Co do oddalenia, w jakiem używaną bywa, różnią się podania podróżników. Według zdania niektórych nawet na 300 kroków celu nie chybiają, inni przeciwnie najdalszy kres oznaczają na 60 kroków. Dmuchawka przechodzi z ojca na syna i uważaną bywa za najcenniejszą część spadku. Przed wysłaniem strzały obciąża ją myśliwy w miarę oddalenia zwierzyny, nieco wilgotną gliną, którą na ten cel nosi zawsze z sobą w kości skroniowej którego z małych ssawców. Jad dobrze przechowany zachowuje skuteczność swoją przez rok do półtora roku, a funt jego ma wartość handlową trzech srebrnych piastrów. Działanie jadu objawia się nawet u największych zwierząt łownych, jak bawołów, najdalej w 15 minutach. Spożycie takiej zwierzyny jest wcale nieszkodliwe, myśliwi twierdzą nawet, że ona jest smaczniejszą, jak innym sposobem ubita. Trzeba przyznać, że przyrządzenie jadu, jakoteż wyrób i użycie broni, znamionują pewien stopień bystrości umysłu, tem bardziej uderzający, że staje w sprzeczności z charakterem zresztą zwierzęcym tych pokoleń. Wiele ludów indyjskich w lasach pierwotnych i na nizinach wielkich rzek są jeszcze ludożercami. Jeńców swoich tuczą tak jak bydło opasowe i zabijają ich w dniach uroczystych z powszechną radością ozdobionemi maczugami. Niektóre pokolenia zajmują się jedynie połowem ludzi, a wzajemne waśnie i krwawe walki nie ustają nigdy między niemi. Kobieta towarzyszy mężczyźnie w wyprawach łowieckich i wojennych i zbiera w pierwszych wypuszczone strzały. W pochodach noszą kobiety pakunek i biorą nawet czasem udział w walce; ztąd to dawniejsi podróżnicy umieszczali bajeczne amazonki w tych stronach, a największa rzeka na ziemi nosi od tego podania swą nazwę. Młodzieniec przed wyzwoleniem rycerskiem musi się poddać wszelkim katuszom głodu i cielesnych cierpień, a trwoga wobec złych duchów jest na dalekich przestrzeniach jedynym śladem religijnego poczucia. Mężczyzna kroczy w lesie naprzód, zawsze gotowy do strzału, nóż sporządzony z muszli lub kamienia nosi na sznurze u szyi zwieszony na grzbiet, a kobieta dzieci wiodąc za ręce, idzie w jego ślady. Tak polują na zwierzynę, zbierają jaszczórki, żaby, robactwo, aby nasycić swoją żarłoczność. Żołądek, mówi Lallemant, jest istotnym bożkiem mieszkańca południowej Ameryki, a myśliwstwo i rybołowstwo zaledwo wystarczyć mogą na uspokojenie jego pożądliwości. Obecnie niektóre pokolenia posiadają już żelazne narzędzia i sprzęty, używają też broni palnej i ładownicy, ale zawsze jeszcze przenoszą łuk, strzałę i dmuchawkę, nad inną broń, tak dla ich tajemniczości, jakoteż głównie z tej przyczyny, że obie bronie w skutek wilgoci nie zawodzą. I w istocie są te przymioty nader cenne, toż i biali osadnicy często ich używają. Nawet tapiry i once padać mają od zatrutych strzałek indyjskich dmuchawek. W handlu pojawia się jad w małych, okrągłych, glinianych garnuszkach, ma ciemno zieloną barwę i w smaku jest gorzkim. Urari i Upas Jawańczyków są w skutkach najcenniejsze. Ptak pada martwy w 10, małpa w 6 do 8, peccari w 12 do 15 minutach. Najbardziej pouczające badania nad przyrządzaniem jadów wojennych i myśliwskich, szczególnie Urari, przedsięwziął w nowszych czasach Appun, który w tych miejscowościach długo przebywał. Twierdzi on stanowczo, że Urari nie jest ciałem jednolitem, ale przyrządzony bywa z kory 13 rozmaitych gatunków strychninowych. Niektóre pokolenia dołączają nadto sproszkowane gruczołki jadowite i takież zęby. Appun zwidził pasmo gór Manu, niezmiernie bogate w skarby przyrody, gdzie też pospolicie znajduje się strychnina, rodząca Urari.

Całe terytoryum południowej Ameryki jest nader pełne mytów. Tu leży bajeczne jezioro Amuru, gdzie umieszczali konkwistadorzy i sir Walter Ralejgh siedzibę żyjącego w złoconych pałacach, codziennie świeżym złotym proszkiem na całem ciele obsypywanego Patiti. *El Dorado* (pozłocony) zwał się ów władca, a imię jego przeszło na kraj, który odtąd stał się symbolem nieprzerwanego, rozkosznego życia i wymarzonego szczęścia. Setki konkwistadorów pędziło pragnienie posiadania złota ku tej tropikalnej strefie, największa ich liczba zanikała pod palącym promieniem słońca i ginęła nędznie od strzał indyjskich. Z oceanu traw Sawannów sterczą, niby oazy, małe zadrzewienia palm Maripa i Tucuma, u których pni tu i owdzie krzew wijący się długie, wszechstronnie rozwinięte ramiona, rozsyła. Indyanie Macuschi zowią tę roślinę Yakki-Matli, według badań Appuna należy ona do klasy strychneów i ona to głównie daje straszny jad Urari. Roślina ta występuje obficiej w miarę zbliżania się ku pasmu gór Manucu. W zachodniej ich stronie wznosi się dziwnie

zformowana góra ku wysokości 3000 stóp, podobna do murów olbrzymiego zamczyska, jest to Ilamikipang, uważana jako siedlisko złego ducha. Stoki jej pokryte są roślinami pożądanemi do przyrządzania Urari. U stóp góry żyje pewna indyjska rodzina, która truciznę w wielkiej ilości dostarcza. Jedna z jej chat ma podobieństwo z chemicznem laboratoryum. Wielkie garnki zastępują miejsca retort i tyglów, skręcone liście bananów, lejków, tkanina komórkowata owocu *luffa algyptiaca*, filtru. Appun ruszył z głową rodziny na szczyt Ilamikipangu i miał przytem sposobność przekonać się naocznie o skuteczności jadu. Gromada Coaitów, jednego z najszkaradniejszych małp rodzaju, uganiała po gałęziach drzewa, obok którego przechodzili. Tenaqua, właściciel chaty i fabryki jadu, wypuścił z dmuchawki zatrutą strzałę ku największej małpie z całej gromady. Zwierzę zdziwione patrzało na strzałę, usiłowało wydobyć ją z rany i złamało w połowie. Wnet wydawało z siebie przytłumiony głos cierpienia, a towarzyszki otoczyły ją w koło śród rozmaitych grymasów. W mniej jak 5 minutach spadła Coaita z drzewa martwa. Przy dalszem wspinaniu się na górę spotkali stadko ślicznych, pomarańczowych kamionek, złożone z sztuk około 20, zajmujących się właśnie jakoby tańcem, co się u tych ptaków pospolicie dzieje. Jeden z samców skakał z rozłożonemi skrzydłami i rozwartym ogonem w środku kamiennej bryły, a inne obsiadły ją w koło i wydawały dziwne głosy. Po chwili ustąpił, a inny zajął jego miejsce. Mięso kamionki jest bardzo smaczne i przez gotowanie zabarwia się kolorem krwawym. Wypchana służy Indianom jako ozdoba ich ciała. U szczytu góry podnosi się 800 stóp wysoka, prawie prostopadła skała, u której podnóża w głębi leśnej puszczy leży mała chatka, zbudowana z liści palmowych na skład drzew jadowitych. Skuteczność jadu objawia się w korze trzech gatunków strichninowych, reszta jest dodatkiem, który nieświadomego rzeczy ludzi i przedstawia mu przyrządzanie jadu jako niesłychanie trudne i prawie niewykonalne. Jad posiada zaprawdę straszliwą siłę. Nawet tyle twarde życie leniwca kończy się w skutek jego działania rychlej jak w kwadransie. Jako środek zaradczy uchodzi u Indianów sok z trzciny cukrowej jakoteż sól. Appun jednak twierdzi, że jest to tylko czcze przypuszczenie i że spirytus salmiakowy, jak w ranach od wężów jadowitych, tak też i w tym wypadku, jest najskuteczniejszym środkiem. Według mniemania Virchowa pojawy, śród których śmierć następuje, wcale nie są podobne do zatrucia przez strychninę. Jad działa nie wprost zabójczo, lecz ubezwładniająco, ruchy muszkułów ustają, następuje porażenie muszkułów oddechowych i śmierć. Hunter sądzi, że Urari jest wprost skutecznym środkiem przeciw letargowi. W czem polega ta dziwna różnica w skuteczności Urari i strychniny, gdy przecież pierwsza z strychniny się wyrabia, jest rzeczą niejasną zupełnie. To jednak jest pewne, że strzała Urari jest główną pomocą Indianina tej okolicy w jego wyprawach myśliwskich. Uzbrojony swoją dmuchawką zacieka się w najgłębsze gąszcze puszczy leśnej i podchodzi małpy i papugi z największą ostrożnością i zręcznością. Łudząco naśladuje ich głosy i wysyła zatrutą strzałkę pewną ręką na 100 stóp w górę w chaos liści gęsto zarosłych drzew. Na większe zwierzęta używa strzał 5 do 6 stóp długich, które wypuszczane są z wielkich, z twardego drzewa sporządzonych łuków. Przeciwieństwo do tych gwałtownie działających tworzą jady, zwane tajemnicze, wprawdzie do celów myśliwskich nie pożyteczne, ale dla planów skrytobójczych pożądane. Już Plutarch i Kwintylian opowiadają, że mieszkańcy wschodu posiadają znajomość jadu, który nie chybia tego, komu jest przeznaczony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Kilka wrażeń z Wystawy krakowskiej. W chwili, gdy łamy „Łowca" pomieszczą moje uwagi o Wystawie krakowskiej, Wystawa sama już będzie należała do przeszłości, a sprawdzenie szczegółów, które podać zamierzam, na miejscu samem będzie nie możliwe i tylko chyba do pamięci tych, którzy Wystawę widzieli, możnaby się odwołać. Z tego powodu całkiem naturalnem jest, że sprawozdanie z Wystawy nie może sięgać do wszelkich drobiazgów, które w pamięci bardzo rychło się zacierają, nie pozostawiając trwalszego wrażenia, lecz powinno zaznaczyć osiągnięte rezultaty pewnych działów Wystawy, podnieść ogólne wrażenia, wreszcie nakreślić najważniejsze linje wytyczne, dające możność oryentowania się w wadach i zaletach Wystawy. Nie potrzebuję dodawać, że wrażenia moje, z których w „Łowcu" zdaję sprawę, nie dotyczą Wystawy w całości, lecz tylko pewnego jej działu, a raczej grupy, obejmującej Wystawę rybacką, łowiecką i lasową

Przyznaję z góry, że grupa ta jako całość wzięta robiła na Wystawie wrażenie korzystne. Lecz niestety także już z góry zaznaczyć winienem, że to korzystne wrażenie tylko jednemu, jedynemu działowi rybackiemu zawdzięczyć należy. I całkiem słusznie. Był to bowiem jedyny dział, w którym na każdym kroku można było dostrzedz rękę umiejętnego i troskliwego kierownika, w którym zresztą postarano się o umiejętne nagromadzenie wszystkiego, co do Wystawy rzeczywiście należeć winno. Pod tym względem, rzec można śmiało i bez przesady, Wystawa rybacka była zaprawdę wzorową i świetną.

W prawem skrzydle głównego pawilonu była jej główna siedziba, część Wystawy zaś mieściła się tuż obok na dziedzińcu. Systematycznie i umiejętnie uporządkowana Wystawa rybacka, dawała mniejwięcej wszystko, co z naukowego, gospodarskiego i dyletanckiego stanowiska wymaganem być może. Przedewszystkiem więc znajdowały się okazy ryb właściwych naszym rzekom i to w wielkiej obfitości, zarówno suszone, marynowane, preparowane jak i żywe. Nie zabrakło też całego szeregu rycin i map, przedstawiających przegląd rozsiedlenia ryb w wodach galicyjskich, projektów rewirów rybackich, zestawienia rezultatu wychowu rozmaitego narybku, staraniem prof. Nowickiego lub Towarzystwa rybackiego w Krakowie dokonanego. Wędki amerykańskie, angielskie i nasze, najrozmaitszego rodzaju i pomysłu, proste i ozdobne, całe i składane, saki, oście, więcierze, kumle, włoki, kosze, skrzynie, blaszanki, ponęty i mamidła, wszystko to w rybołowstwie mające swoje przeznaczenie, znalazło właściwe miejsce na

Wystawie i to w takiej liczbie i w tylu rodzajach, że najwybredniejszego rybaka winnoby zadowolić. Dodajmy do tego cały szereg modelów, pułapek, przepławek, wylęgarni, sadzawek rybackich i t. p., dodajmy kompletne ubiory rybackie, zbiór sznurów do wędek i całego szeregu drobnych przyborów, dodajmy dalej zbiór roślin wodnych i ptactwa wodnego, książki dotyczące rybactwa, „Kalendarz myśliwski i rybacki“ „Łowca“, statuta, regulamin i spis członków Towarzystwa rybackiego w Krakowie, a dojdziemy do przekonania, że o wszystkiem tu pamiętano z troskliwością, niczem nie wzgardzono, niczego nie przepomniano. Tak się przedstawia Wystawa rybacka, urządzona staraniem krajowego Towarzystwa rybackiego w Krakowie, względnie staraniem wielce zasłużonych jego kierowników, prezesa prof. Nowickiego i wiceprezesa p. Stanisława Kluczyckiego. Jakaż szkoda, że podobno Towarzystwo samo nie bardzo liczne i nie bardzo skutecznie działa, nie doznając gorliwego poparcia.

Jako uzupełnienie tej Wystawy służyło akwaryum pana Aleksandra Gostkowskiego z Tomic, prawdziwa ozdoba całej Wystawy krakowskiej. P. Gostkowski, oddający się hodowli ryb *con amore* i prowadzący gospodarstwo stawowe w sposób racyonalny i na bardzo wielką skalę, zbudował na Wystawie znaczne akwaryum sumptem około 8—10.000 zł. i w niem a względnie i w dziedzińcu obok akwaryum, przedstawił sposób prowadzenia gospodarstwa stawowego i jego rezultaty. Trudno mi wchodzić w szczegóły, zaznaczam więc tylko, że pan Gostkowski prowadzi niejako płodozmienne gospodarstwo stawowe t. j. stawy podzielone na pewne rotacye naprzemian są zawodniane lub pod uprawę, obliczoną pośrednio jako pokarm dla ryb. Rezultat tej gospodarki na Wystawie przedstawiał się wspaniale. Za szklanemi taflami w akwaryum p Gostkowskiego przewijały się olbrzymie okazy amerykańskiego okonia, sandacze, sumy, łososie, pstrągi, liny, karpie, szczupaki i t. p. i t. p., olśniewające nieraz rozmiarami a niejedne zaciekawiające swym wyglądem, bo u nas pospolicie nie trafiające się. Wszystko to zaś pochodziło ze stawów pana Gostkowskiego. Ciekawem wielce w swoim rodzaju było przedstawienie rozwoju karpia od ikry aż do 50 dni życia w osobnych słojach. Wylęgarnia ryb, przeróżne narzędzia rybackie, służące do połowu, brakowania i przesyłki ryb uzupełniały świetnie Wystawę pana Gostkowskiego, świadczyły wymownie o tem, na jaką skalę i jak wzorowo Wystawca prowadzi gospodarstwo rybne. Tak więc w tym dziale Wystawa krakowska stanęła nie tylko na wysokości swego zadania, ale jak sądzę, prześcignęła niejedną nawet ze światowych Wystaw, nigdzie bowiem jeszcze tak szczegółowej a zarazem tak umiejętnej Wystawy rybackiej nie widziałem.

Wystawa łowiecka i lasowa natomiast smutne dały świadectwo starej prawdzie, że chęci choćby najlepsze nie zastąpią wiedzy i rzetelnej pracy. Czytałem gdzieś, czy też słyszałem, że Towarzystwo łowieckie dało 400 zł. subwencyi na urządzenie Wystawy łowieckiej. Niestety na Wystawie łowieckiej nie tylko trudno było dostrzedz, że ktokolwiek dał już nie kilkaset, lecz choćby kilkadziesiąt zł. subwencyi na jej urządzenie, ale nawet nie podobna było dowiedzieć się o istnieniu jakiegoś Towarzystwa łowieckiego. Dość wspomnieć, że „Łowiec“, organ Towarzystwa, od wielu lat mający zasłużony rozgłos szeroko po za granicami naszego kraju, ani w jednym egzemplarzu nie znajdował się na Wystawie. Cóż mówić o innych publikacyach? Nie było ich wcale! Jedyny „Kalendarz“ „Łowca“, będący przypadkowo także i rybackim, jako taki znalazł swe pomieszczenie, ale oczywiście na Wystawie rybackiej. Jasne jest, że przy takiej staranności i troskliwości kierujących urządzeniem Wystawy łowieckiej, Wystawa ta wypadła istotnie mniej jak miernie. Niepodobna bowiem powiedzieć, ażeby już sama kollekcya rogów, choćby i najpiękniejsza, stanowiła Wystawę łowiecką. Sprzęty zaś do zwykłego użytku przeznaczone, choćby na badylach łosia lub jelenia, za słaby mają związek z łowiectwem, aby poważne braki w samejże Wystawie zastąpić mogły. Niestety po za pięknymi, co prawda, okazami rogów ze zbiorów hrabiów Artura i Romana Potockich, Włodzimirza Dzieduszyckiego, Stefana Zamojskiego i panów Michała Brzostowskiego i Edwarda Simona i po za stolikami na badylach łosia i jelenia i szachownicą na raciach dzika, wystawionymi na sprzedaż przez p. Władysława Zontaka, nie wiele już widniało na t. z. łowieckie. Wystawie. Pięknie wypchane okazy zwierzyny ze zbioru hr. Włodz. Dzieduszyckiego, kilka głów i skór ze zbioru p. Brzostowskiego, zapełniały g r o s tego działu Wystawy i ściągały na siebie uwagę widza. Ale na tem też koniec. Zresztą były tylko drobiazgi nie systematycznie i nie umiejętnie ułożone i nie dające zgoła wyobrażenia o tem, że Polska była krajem słynącym z łowiectwa i że nasza dzielnica chce się szczycić całym szeregiem głośnych myśliwych, pięknych łowów, bogatych zbiorów łowieckich i t. p.

Uderzyć musi każdego choćby cyfra wszystkich przedmiotów wystawionych w tym dziale: jest ich w Katalogu 110, podczas gdy w dziale rybołowstwa (nie licząc wcale akwaryum p. Gostkowskiego i jego Wystawy), jest numerów w Katalogu 475. Różnica zbyt rażąca! W ciekawy sposób między innymi przedstawiał się zbiór broni myśliwskiej. Istotnie można było zaimponować i ilością i jakością. Oto ni mniej ni więcej tylko p. Drohojowski wystawił dwie pojedynki z monogramami Stanisława Augusta, szturmak, dubeltówkę skałkową, kordelas, dwa oszczepy, z których jeden powiązany sznurkami! Dodajmy do tego kordelas Artura hr. Potockiego i kilka trąbek, a będziemy mieli całkowity obraz zasobów broni myśliwskiej w naszym biednym kraju. Doprawdy trudno nawet wyszukać jeszcze coś godnego wzmianki na tej Wystawie. O tem, ażeby przedstawiono historyczny rozwój i obecny stan łowiectwa u nas, ażeby graficznie wykazano rozkład, rodzaje i ilość zwierzyny w kraju, przedstawiono pożytki i szkody, wskazano postępy i braki i t. p. i t. p., o tem wszystkiem nikomu nawet się nie śniło. Mógłbym tu wyliczyć cały szereg, niemal litanię postulatów, które należało było uwzględnić na Wystawie, jeżeli się ją szumną nazwą „łowieckiej“ ochrzciło. Taka jaka była, służyła okazami rogów i wypchanych zwierząt tylko ku ozdobie całej Wystawy krakowskiej (chociaż i to w skromnym stopniu), względnie ku zaspokojeniu ciekawości gawiedzi, ale nigdy ku pożytkowi, nigdy ku okazaniu jakiegoś rozwoju lub postępu na polu łowiectwa, nigdy wreszcie ku zaspokojeniu wymagań nauki.

Nieodrodną siostrzycą Wystawy łowieckiej była lasowa. Po Wystawie lwowskiej odbijała ona takiem ubóstwem w treści i urządzeniu, że nie potrafię tu nic ważniejszego zaznaczyć nad to, że w Katalogu zapisano tylko 75 numerów okazów, odnoszących się do tego działu. Dr. *A. L.*

Z Wystawy krakowskiej. W osobnym oddziale, przedzielonym ścianą od głównego budynku wystawowego, w skrzydle zwróconem ku miastu, umieszczono Wystawę łowiecką, leśną i rybacką. Oddzielenie Wystawy łowieckiej, na nieco ciasnej przestrzeni, od innych pawilonów, dozwoliło urządzić ją i rozłożyć tak, iż pozostawia ona u zwidzającego nader przyjemne, harmonijne, a nawet piękne wrażenie.

W końcu ganku, dosyć szerokiego, iżby można najwyżej nawet umieszczone przedmioty swobodnie rozpatrywać, a którego ściany ozdobione są wieńcami jeleni, rogami sarnimi i głowami dziczemi, umieszczono na dwóch poprzecznie zawieszonych sztabach rozkład zwierzyny, składający się z wszelkich w kraju znajdujących się jej gatunków w exemplarzach starannie wybranych i znakomicie preparowanych. Oto leży jeleń kapitalny z wspaniałym świeżym wieńcem, a po bokach jego potężny odyniec i piękny ryś. Grupa ta wystawiona przez tak znakomicie dla kraju zasłużonego hr. Włodzimirza Dzieduszyckiego, uwieńczona utwierdzonemi do tylnej ściany i aż do dachu sięgającemi głowami danieli, rosochami łosiów, lustrami głuszców, skórami dzików, lisów, borsuków i wydr, umiejętnem rozłożeniem zdobiącemi ową ścianę. Rozwieszone bardzo zręcznie na bocznych ścianach głowy zwierzęce, skóry, wieńce i rogi uzupełniają obraz łownej fauny Galicyi. Szczególnie rogów sarnich wystawiono zbiór taki, iż piękniejszego i bogatszego myślą objąć nie można. Wszelkie anormalności w przepysznie rozwiniętych prawidłowych rogach są tu widoczne, a niektóre exemplarze są zaprawdę unikatami. Na szczególną uwagę zasługują wystawione przez hr. Romana Potockiego wieńce jelenie (nr. 37 Katalogu) i niektóre rogi sarnie ze zbioru hr. Włodz. Dzieduszyckiego i pana E. Simona. Pięknym jest również zbiór mylników *(Kümmerer)* pana Brzostowskiego. Niestety u wielu exemplarzów nie podano miejsca ich pochodzenia. Wystawca ten umieścił także dwie skóry niedźwiedzie, pochodzące z zwierząt niezawodnie największych w swoim rodzaju, z których jeden człowieka życia pozbawił, nim go pan Brzostowski trupem położył, co też ów myśliwy zwidzającym jego trofea myśliwskie chętnie w bardzo dramatycznych obrazach opowiada.

Nie ma powodu zapewniać, że nie brak też wspaniałych wieńców jelenich, jakoteż nader starannie wypchanych głuszców i cietrzewi. Najpiękniejsze wieńce jelenie wykazuje zbiór hr. Artura Potockiego, który również wystawił w rogach sarnich rezultat sześciodniowego buszowania w swoich rewirach. Gratulujemy panu hrabiemu tak pięknego stanu sarn w jego rewirach, z tej wszakże zdobyczy myśliwskiej, osiągniętej w stosunkach pewnie nie normalnych, nie można wnioskować o stanie ogólnym naszej zwierzyny. Z innych jednak wystawionych rogów sarnich wolno sądzić, że stan sarn w kraju co do jakości zwłaszcza, nie pozostawia nic do życzenia. Odnośnie do ilości, ponieważ prócz plastycznego wykazu ubitej zwierzyny tego rodu hr. A. Potockiego, nie ma na Wystawie innych wykazów, nie można mieć jasnego wyobrażenia.

Dziwne, iż wszystkie wystawione głowy dzicze są tak nędzne. Może to wina preparatora? Że nietylko głodem wychudzone, ale też wspaniałe okazy dzików w kraju się znajdują, mamy dowód w wystawionych przez hr. Dzieduszyckiego odyńcach, jakoteż w głowie potężnego dzika, przysłanego przez dra Krattera.

O ile Wystawa łowiecka okazuje przedmiot łowów, zwierzynę, jest obraz przedłożony oku widza, zupełny i dokładny, w tym kierunku Wystawa może być uważaną jako znakomita. Inaczej rzecz się przedstawi, gdy zapytamy, czy też Wystawa dała nam pojęcie wykonywania szlachetnego myśliwstwa, czy wskazała używane w tym celu środki i przybory? Łatwo spostrzedz, iż Wystawa w tym kierunku daje zbyt mało tego, co mogło być, a nawet powinno było być zebrane i przedłożone. Już brak zupełny psów łowczych stanowi wielką próżnię, stało się to może z powodu trudności umieszczenia i wyżywienia tych zwierząt w czasie długiego trwania Wystawy. Nawet obecnie używane przybory myśliwskie nader skąpo wystawione tak, iż trudno w nich coś godniejszego uwagi wybrać i należałoby chyba treść Katalogu powtórzyć, co jest, jest dobre i użyteczne. Dotkliwy czuć brak pozostałości po staropolskiem myśliwstwie, które w zupełnie właściwy, ściśle narodowy sposób wspaniale było wykonywane i stanowiło ważną część staropolskiego życia narodowego. To, co hr. Włodz. Dzieduszycki i hr. Zygmunt Drohojowski wystawili, dowodzi wprawdzie, że oni tę próżnię uczuli i zapełnić ją pragnęli, ale sami nadto mało w tym względzie mogli uczynić. Przy dobrej woli można było po dworach szlacheckich i zamkach magnackich nie jeden znaleść zabytek, świadczący o zamierzchłej wspaniałości staropolskiego myśliwstwa.

Natomiast wolelibyśmy wcale na Wystawie nie widzieć stołów i stołków (nr. 102. 103. 104. Katalogu), takie okazy, jeżeli są niezwykle wyrobione, należą do działu mebli, nie zaś do Wystawy specyalnie myśliwskiej.

W ogólności można powiedzieć, iż mimo braków, które wytknąć było naszym obowiązkiem bez chęci czynienia uszczerbku istotnej zasłudze; Wystawa łowiecka była prawdziwie piękną, a tym, którzy ją urządzili, należy się zasłużona chwała.

Zdaje się nam, iż w końcu powinniśmy uczynić Wystawie łowieckiej niezawodnie słuszny zarzut, iż była ona wyrazem pojedyńczych wystawców, nie zaś gal Towarzystwa łowieckiego, o którem zwidzający z Wystawy wiadomości nie powzięli.

Wzgląd utylitarny nakazywał wystawić roczniki „Łowca“ z lat dziesięciu, „Kalendarz myśliwski“ z lat trzech (okazany w dziale Tow. rybackiego), jakoteż dosyć liczne wydawnictwa Tow. łowieckiego. Próżnia ta da się może uczuć „Łowcowi“, a nawet samemu Towarzystwu łowieckiemu. *K.*

---

16. Października 1887. Myszkowce.

O tem i o owem pisać będę, gdyż trudno żądać, abym zebrał myśli i stworzył poważną całość, mając $^{8}/_{10}$ kartofli w polu, zgniły owies, otawę, a nadgniły konicz i bób, do tego oddaliłem rządcę, zmieniam kucharza, klucznicę i kilka sług, więc nielad w mojem gospodarstwie odzwierciedli się w tej korespondencyi. Zaczynam od Wystawy łowieckiej w Krakowie. Był to jeden z najładniejszych działów, za co kto dostał nagrodę w tym dziale, wiecie z dzienników, nie czytałem zaś nigdzie opisu wystawionych przedmiotów przez Artura hr. Potockiego, który się o nagrodę nie ubiegał, a kto widział te zbiory rogów jeleni i rogaczy, wypchane głowy zwierza i ptaków, przyznać musi, że to są skarby dla myśliwego, które zebrać i ze znajomością rzeczy z gustem i elegancyą przedstawić nie każdy potrafi, a do zebrania tylu ładnych rzeczy, nie wystarcza, przy zwykłej fortunie, przeciąg życia pojedyńczego człowieka. Bardzo ładny był obraz przedstawiający przebieg polowania na podjazdy w dobrach Staszowskich przez dwa i pół dni, w ramie gustownej z gałęzi zdaje się grabiny, zawieszonych było 74 par rogów rogaczy i kły odyńca, które zginęły w tak krótkim czasie z rąk hr. Artura Potockiego i trzech zaproszonych towarzyszy. Patrząc na ten obraz miało się jakoby fotografię polowania i widziało się na pierwszy rzut oka, kto, co, kiedy, rano czy wieczór i gdzie zastrzelił. Z jaką troskliwością musi być chowana zwierzyna, by taki rezultat mógł być osiągnięty.

Od ładnego działu Wystawy przeskakuję do mniej ładnej zwierzyny, ale że rzecz niezwykła, więc opiszę. W tym roku był u mnie niezwykły przeciąg chruścieli, były dnie, w których zabijałem 40 chruścieli, przytem przepiórek dziennie najwięcej 9, dosyć że od 21. Sierpnia do 26. Września na obszarze 500

morgowym zabiłem chrustasów 357 sztuk. Wybiłem jednego dnia 30 do 40 sztuk, na drugi dzień jawiła się taka sama ilość. Było też i dubeltów kszyków więcej jak zwykle, kuropatw za to bardzo mało. Słonek do dziś niewiele, są pojedyńcze małe, ale ciągu nie ma.

Macie więc to i owo, a teraz na wety! W początkach Października polowałem w Łańcucie. Pierwszego dnia deszcz zepsuł rezultat polowania, zające z trudnością dawały się gonić a krople zimnej wody ostudzały zapał pogonki. Następne dnie wynagrodziły nam sowicie, była pogoda, lasy, to ogrody starannie utrzymane, w których co chwila spotyka oko miłą niospodziankę, i tak drugiego dnia wśród rozległych kniei znaleźliśmy się w parku ogrodzonym w części parkanem, w części siatką drucianą, w którym są daniele, park przecięty wszerz i wzdłuż drogą, w środku glorieta z św. Hubertem na wierzchu, a niedaleko w zacisznym ustroniu lasu staw o nieregularnych formach, ujęty w żywy strzyżony płot z smereczyny, z mostami i z altaną, gdzie jedliśmy śniadanie, całość urocza. W parku były słonki.

Przez przeciąg polowania mieliśmy dwóch niezwykłych towarzyszy, bo dwie Panie, Panią Stefanową hr. Zamojskę i hr. Romanową Potocką, które wesołe i pełne uroku w salonie, są jako dobre i zamiłowane łowczynie, nieocenionemi towarzyszkami każdego polowania, w którym udział wziąć raczą.

Kto był i co ubito, nie piszę, bo rezultatu polowania dokładnie nie pamiętam, a sprawozdanie było w „Czasie“ i „Przeglądzie“, tyle tylko powiem, że zwierz był rozmaity: lisy, rogacze, zające, kuropatwy, bażanty, słonki — i że ja ostatniego dnia zabiwszy 16 zajęcy i lisa, byłem w zakładzie kto więcej zabije, pobity przez Augusta hr. Potockiego, który do śniadania o jedną sztukę, po śniadaniu o 3 sztuki więcej odemnie zastrzelił.

Teofil Żurowski.

KRONIKA.

Ankieta łowiecka, zwołana przez Wydział krajowy, przerwawszy na wiosnę swoje obrady, zebrała się w dniach 6—8 Października i po trzech posiedzeniach zakończyła swoją czynność. Przewodniczył jej członek Wydziału krajowego p. Bereźnicki, a udział wzięli ks. Władysław Sapieha, hr. Antoni Wodzicki, Stanisław Homolacz, dr. Kratter, dyrektor Simon, Dawid Abrahamowicz, Feliks Gniewosz i prof. Romańczuk.

Ankieta postanowiła przedewszystkiem, że zasadnicze postanowienia obowiązujących ustaw mają być i nadal utrzymane, a mianowicie: prawo samoistnego polowania dla właścicieli obszarów 200-morgowych w jednym kompleksie, dla mniejszych zaś przestrzeni ma być polowanie wydzierżawionem razem z gruntami włościańskimi każdej administracyjnej gminy. Ankieta chce jednak wprowadzić, aby użytkujący z prawa polowania mieli obowiązek wykazania się kwalifikacyą myśliwską, o której kwalifikacyi orzekać ma komitet powiatowy, mający się składać z reprezentantów władzy politycznej i autonomicznej miejscowej i Wydziału krajowego.

Ankieta uchwaliła dalej, ażeby licytacye dzierżawy polowań odbywały się w Wydziałach powiatowych, a rozpoznanie sporów z kontraktów poruczyć Starostwom.

Wszelką zwierzynę, przedmiotem polowania będącą, podzielono na szkodliwą i użyteczną. Szkodliwą ma prawo każdy i w każdym czasie tępić, ale ubita sztuka stanowić ma własność użytkującego z polowania na swym obszarze myśliwskim. Wprowadzono jednak nowe postanowienie, iż tam, gdzie dziki robią większe szkody, mają Starostwa dawać bezpłatne certyfikaty na broń mieszkańcom gminy, a to w czasie od 1. Lipca do 1. Listopada. Kto ubije dzika, ma oddać go za wynagrodzeniem 5 zł. od sztuki większej, zaś po 2 zł. od warchlaka. Na żądanie mieszkańców, władza polityczna zarządzi obławy publiczne, a zwierz ubity zawsze będzie własnością użytkującego z polowania. Za szkody zrobione w ziemiopłodach przez zwierzynę szkodliwą, nikt nie będzie odpowiadał, a przez zwierzynę użyteczną właściwie także nikt, gdyż ankieta postanowiła uznać obowiązek wynagrodzenia szkód wyrządzonych jedynie przez jelenie i daniele.

Ankieta wprowadza zakaz polowania w niedzielę przez cały dzień, a w święta uroczyste do czasu ukończenia nabożeństwa w kościele.

Dla psów i kotów okazała ankieta nietolerancyę. Psy mają być prowadzone w polu na sznurach, lub dźwigać kloce zawieszone na karku, w przeciwnym razie wolno je strzelać. Również koty, któreby się o 70 metrów po za gospodarskiem obejściem pokazały, mają byc strzelane.

Za tępienie drapieżnych zwierząt mają być ustanowione premije, wypłacać się mające z funduszu krajowego.

Radykalnej przemianie uległ projekt ustawy o kartach myśliwskich, uchwalonej przez Sejm w r. 1886. Mianowicie ankieta postanowiła zniżyć opłatę roczną z 8 zł. na 3 zł. i objawiła opinję, ażeby opłaty te nie należały do funduszu krajowego, lecz do specyalnego funduszu, utworzyć się mającego na cel kultury myśliwskiej. Natomiast odstąpiono od wymagania, ażeby starający się o kartę myśliwską musiał wpierw zyskać zezwolenie na to od właściciela polowania, chociaż posiadanie samej karty nie nadaje jeszcze prawa polowania w cudzym rewirze myśliwskim.

Opłata od chartów wynosić ma od sztuki po 10 zł. rocznie.

Stare Brody 23. Października 1887 r.

I u nas zawiązało się Towarzystwo łowieckie, członkami są: Tutejszy starosta hr. Wład. Russocki, rotmistrz Weiss von Weisenfels, Antoni Kownacki, naczelnik sądu Henryk Garwoliński, hr. Oldi, sekretarz Pilch, Bolesław Pilatowski, sędzia J. Kilian, Aleksander Leszczyński, profesor Małaczyński, Szczepan Padlewski, Władysław Gniewosz, Bogusław Horodyński, i jako prezes Marceli hr. Tyszkiewicz.

Wspólka wydzierżawiła następujące gminy: Czechy, Gaje starobrodzkie, Hołoskowice z gajami, Jasionów, Kadłubiska, Korsów, Komtorówka i Mytnica, Ponikowice, Rażniów, Suchowola, Zabłotce, Bołdury, Grzymałówka, Korolówka, Mikołajów, Sznyrów, Kormaniówka, Baryłów i Suchodoły.

Pierwszy ciąg dubeltów w okoliacach brodzkich zaczął się około 25. Lipca, jednakże nie było tyle dubeltów, co za dobrych lat, więcej przecie, jak w zeszłym roku; najwięcej padło: w jednym dniu 36 dubeltów, kiedy w roku, jeżeli się nie mylę 1885., na Sznyrowskiem błocie ja z Bogusławem Horodyńskim zabiliśmy 96 od południa do wieczora, a już zastaliśmy dwóch myśliwych, którzy zabiwszy 32. pojechali w południe na Bołdury. Zawsze polując pilnie, w tym roku zabiłem 189 dubeltów, kszyków 112, ale w co obfitował ten rok, to w chruściele, były dnie, że po 14 zabijałem, przepiórek było także dużo, że często ładunków brakowało i te siedziały na wodzie. I teraz chociaż spóźniona już pora, bo to 21. Października, a jeszcze wczoraj siedm przypiórek znalazłem. Słonek jeszcze tutaj nie ma. Kuropatw miejscami jest dużo, a wszędzie po trochę, nawet w takich miejscach, gdzie ich pierwej nie bywało, kuropatw zabiłem 63. Ot macie krótkie sprawozdanie o ptaszkach w naszej okolicy. W kniei jeszcze nie polowałem, lecz wybieram się w niedzielę do Lisowic i już teraz sny mam niespokojne, bo to niedźwiedzie, dziki, rysie, jarząbki i słonki naprzemian budzą mnie ze snu.

Z chartami polowałem przez tydzień z p. J. Mazewskim, który ma smycz znakomitych chartów, uszczuliśmy 23 zające, żaden nie uciekł, a często pojedyńczo puszczaliśmy psy, bo nie było przyjemności szczuć dwoma, tak są rącze i chwytne.

Uważałem, że w tym roku bez porównania więcej zajęcy, jak w przeszłym.

Marceli hr. Tyszkiewicz.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z Związkowa Drukarnia we Lwowie.